

Pb. Nr. 104
26

GŁOWA świętej Barbary.

Powieść
z przeszłości Pomorza

napisał

X. Kujot.

Wydanie drugie pomnożone i poprawione.

PELPLIN

Nakładem i czcionkami E. Michałowskiego.

1895.



KSIĄŻNICA MIEJSKA
IM. KOPERNIKA
W TORUNIU.

Dar T. C. S.

1931/191.

239321



U. 240/57.

1 Rozbitek.

Było to za dawnych, bardzo odległych czasów, jakie pół ósma sta lat temu. Nasze Pomorze, czyli jak dziś mówimy, Prusy zachodnie, dopiero poczynano się zaludniać i wzbogacać po długich wojnach, które dzielni prajcowie nasi w obronie niezawisłości swych książąt pomorskich staczali pod Naminem, Uściem, Wieluniem, pod Wyszogrodem blisko Fordona, pod Świeciem i Raciążem w okolicy Tucholi, za czasów królów polskich Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego.

Jeszcze wtenczas nie istniały najdawniejsze miasta nasze, jak Tczew, Nowe i Gniew; w Starogardzie i Świeciu były tylko zamki obronne, a koło nich chyba małe chatki się tuliły, których mieszkańcy na wiadomość o wkroczeniu obcych wojsk porucali zagrodę, i zabierając żywność do zamku się chronili. Sam tylko Gdańsk już był ludnym miastem handlowem, zamieszkałym przez samych Pomorzan. Natomiast istniały już wszystkie niemal wsi, w których dziś nasi kochani pracują wiarusy. Był Cekcyn i Bysław pod Tucholą, Kozłowo i Drzymo pod Świeciem, Pelplin i Tymawa z wielkim zamkiem, a w Kaszubach pod Goręcinem, Puckiem, Olszynie, Kościerzyną, więcej było osad wtenczas

niż obecnie. Ale jeszcze ani w Zukowie, ani w Zar-nowcu, w Oliwie i Pelplinie, nie odzywał się głos dzwonów z klasztornej wieży, by wołać okolicznych włościan do pięknych świątyń pańskich na uroczyste nabożeństwa.

Lud osiadły po lasach i nad jeziorami i rzeczkami Pomorza, ci nasi praojcowie dawno zapomniani, których kości może tak głęboko spoczywają w ziemi jak stare pnie dębowe, które w błotach i torfiskach wykopujemy, pochodzili ze szczepu słowiańskiego, który się w owe czasy kończył aż nad Elbą, w dzisiejszym Hanowerze. Światło wiary zaświeciło im nad Gopłem, w tym samym czasie, kiedy to król Mieczysław za wpływem świątobliwej małżonki Dąbrówki umył grzeszną duszę w zbawiennej wodzie chrztu św. Od tego czasu przeminęło przeszło sto lat przed wiecznie gorejącem słońcem, które patrzyło na to wszystko, co się wtenczas działo na drogiem Pomorzu, jak i dziś spogląda na utrapione dzieci owych pierwszych chrześcian w naszej ziemi. Ale zasiew ewangelii św. musiał się długo mocować z chwastem pogańskim, boć do czego człowiek nawyknie przez długie lata, od tego nie odzwyczai się w okamgnieniu, choćby przekonanie o błędzie już na dnie serca zamieszkało. Niejeden zwyczaj, niejedno jeszcze zostało prawo, które nauka Chrystusa Pana potępiała, ale jednak cierpieć musiały.

W takich to czasach, może za panowania księcia Subisława, zdążyło pod koniec września kilkunastu mężczyzn o samym świcie z Rumi pod Oksywiem ku morzu. Ubiór ich stanowiły grube wełniane suknie, przepasane szerokim rzemiennym pasem, u którego każdy miał kilka postronków ko-

nopianych i ostry topór. Golenie ich pokrywały spodnie gęsto poobwiązywane cienkimi rzemieniami, a na nogach bosych mieli tylko grube podeszwy przytrzymane skórkami. Głowy kryły się we wysokich baranich czapkach głęboko nasuniętych. Każdy był silnego wzrostu i śniadej cery, prawdziwi Pomorzanie.

— Nie pamiętam, Zworze, — odezwał się krępy mężczyzna do gęsto już posiwiąłego ale silnego starca, — nie pamiętam takiego wichru jak dzisiejszej nocy. Ściany mojej chaty drżały, jakby z cienkich deseczek były wystawione, a jednak sam je stawiałem z najgrubszych kłodzin, które za pozwoleniem księcia wyciąłem w Dębogórskim lesie. Chwin tak szumił, że ani oka przymrużyć nie mogłem, a dzieci nieustannie płakały tuląc się do mnie na posłaniu z siana i liścia. Gdym wstał, całe tło było zalane deszczem, a popalone szmaty tak nasiąkły wilgocią, że ledwie się iskry jeły, choćem przecież nie lichy do krzesiwa. To też gdyście wołali do morza, skoro się wybrałem, bo po takiej nocy możemy się spodziewać lepskiego obłowu. —

— Aleć i ja, — odpowiedział zagadnięty Zwor, — choć przeżyłem już daleko więcej lat niż ty, mój Włoczu, podobną noc chyba tylko jedną pamiętam. Było to krótko po wielkiej bitwie pod Nakłem, w której twój stryj padł obok mnie, a nie mogłem go wyratować, bo ścigali nas Wielkopolanie. Już potem jakie pięćdziesiąt lat żyję, a ciągle mi żal kochanego drucha! Po owem zdarzeniu podniósł się wicher taki, że w lasach pobliskich najtęższe dęby połamał, a sosny powyrywane dziś jeszcze tam gniją na mierzwę młodszych drzew. Wybraliśmy się z rana jak dziś na obławę, która

się wymienicie udała. Właśnie tej nocy przejeżdżał tu morzem statek kupiecki, wracający z Gdańska do Lubeki. Kupiec sprzedał wszystkie towary i nabierał wiele pieniędzy od księcia i możnych panów. Ale wiatr zagnał go na brzeg, statek się potrzaskał, miotany wichrem i wałami, a gdyśmy przybyli z rana, już tylko dębowe brusy leżały na piasku, a między nimi cała załoga, poraniona i martwa. Łup był obfity, bo przy ciele kupca znaleźlim trzos gruby skórzany, nabity denarami i złotem. Przechowało się na długo pieniędzy, których starczyło na posag dla dzieci. Ponoćby Bożek w Oksywiu nie mógł jeździć do Gdańska po sprawunki, gdyby nie Zworowe pieniądze, które mu wniosła w dom moja Hanka. —

— Dałby Bóg i dziś dobry brzeg, — westchnął Włocz, — bo niewiedzieć już, jak podołać biedzie. Niwka moja nie mała, ale nieurodzajna, to jeżeli się nie znajdzie w ziemi tej żywicy skamieniałej, za którą kupcy z Niemiec tak się dopytują, albo jeżeli nad brzegiem się czego nie złowi, musiałyby człowiek nieledwie z nędzą się skumać! Żeby też jakiego rozbitka znaleźć nad morzem, bo trzeba mi srodze parobka! —

— Mielibyście Boga w sercu, — wtrącił Wojtek, który idąc przy nich, dosłyszał ostatnich wyrazów. — Co morze wyrzuci z rozbijałego łona, to nasze starodawnem prawem i obyczajem. Ztąd też niemało nam idzie dobytku, bo czy się statek rozbije i przypłyną z niego mocnemi gwoździami żelaznemi spojone belki, lub grube powrozy i sprzęty żelazne w dalekich Niemcach sztucznie wykute, czy morskiego psa silny bałwan porwie i martwego złoży na piasku, to naszą korzyść, ale od żywego czło-

wieka, który już w słonej wodzie cały postradał majątek, od niego wara! Dyc to taki chrześcianin jak my, a miałby naszym być niewolnikiem? A czyście to nie słyszeli jak ksiądz łośkiego roku w Pucku czytał na Wielkanoc z pergaminu orędzie miłosciwego księcia z Gdańska, że odtąd tylko co martwego morze wyrzuci, to nasze, że tych, co inaczej sobie postapia, ciężka kara czeka? —

— Martwe czy niemartwe, — odmruknał Włocz. — Co znajdę, zabiorę, jak za dawnych czasów. Dobrze księciu prawa pisać na pergaminie, kiedy u niego suto i niczego nie brak, ale u mnie bieda każdym kątem świeci, więc lepiej trzymać się starych zwyczajów, jak było za praojców. A co tam o Bogu wspominać, to już zdajcie na piśmiennego księdza. —

Na te słowa przerwała się rozmowa. Posępnie zdążali wszyscy ku morzu, nie zważając bynajmniej na piękny widok, który się właśnie przed nimi rozkładał. Jeszcze szumiały w koło nich drzewa, przyginane silnym wiatrem, który co chwila przeganiał po wysokim stropie błękitniącego nieba czarne chmury. Ale już na wschodzie wyglądało słoneczko po burzliwej nocy raz pierwszy na ziemię, jakby się chciało spytać troskliwie, gdzie szkodę wyrządziła ulewa, i lekkim palcem ją zamazać. Połowa różowego blasku spadła na piętrzące się morze, tak piękne, gdy rozdąsane! Daleką ciemnoszarą górą zdawało się być morze kaszubskie, najeżone wysokimi bałwanami, jak grzywą nastrzępioną dzikiego rumaka. Tuż przy lądzie hucząc nadchodził bałwan po bałwanie, aż pieniać się białym śniegiem, wracał do morza.

Nagle wyrwał się z ust naszych wędrowców

radosny okrzyk. — Statek się rozbił! — zawołali wszyscy i prędkim krokiem podążali ku brzegu. Rzeczywiście o jakie sto kroków od lądu byłoby już mniej wprawne oko postrzegło kilka grubych z wody wystających brusów czyli belek, ostatnich szczątków okrętu, mocno wbitych silnym bałwanem w miążki piasek. Bliżej brzegu pływały inne belki, a tu i owdzie coś czarnego, to trupy majtków. Każdy inny byłby się wzdrygnął na ten widok zniszczenia i śmierci, ale nasi znajomi, już pewnie przyzwyczajeni do podobnych okropności, tem prędeziej biegali ku morzu, chciwi połowu, którego się spodziewali na samym brzegu.

Piasek już trochę oschły, ale bielejący jeszcze wodą za każdym stąpieniem, był jakby posiany różnemi przedmiotami. Znowu belki leżały porozrzucane, tu i owdzie zaś wielkie paki mocno przewiązane, a między niemi strasznie pokaleczone ciała ludzkie.

— Bogu dzięki, — zawołał Zwor, to statek kupiecki; będzie walnego obłowu! Najprzód wynieśmy ciała nieszczęśliwych na górę; może który jeszcze żyje, dostałoby się od krewnych niejeden dziesiątek za ocucenie! — Zaraz posłuszni rzucili się wszyscy do ciał, wynosząc je po dwu na małą górkę przy brzegu.

— A kogoż wy tam niesiecie, Stojsławie z Goswinem! W jakąś ubrany długą suknią, jak ksiądz Pucka, — rzekł Zwor, opierając się na wyrzuconym z morza pręcie żelaznym i stojąc nad złożonemi ciałami.

— Zgadliście Zworze, jestto coś jakby ksiądz, bo i plech ma wygolony i suknią długą jak kobieta, a płaszcz bury z jakiego sukna! Nic do tego te

wały sukna, które na spozimku wyciągnęliśmy z wody. Ale twarz jaką ma! Ledwie trochę nabrzękła po słonej wodzie, której się nieboże nachlipało, taka śniada i chuda, a rzęsy i włos czarne jak węgiel. Pewnie z dalekich stron jechał, a może po śmierć, bo członki już sztywne i obziębłe. —

Gdy Stojsław domawiał tych słów, złożył z Goswinem obcego księdza u stóp Zwora, ziekawie wpatrując się w niezwykłego rozbitka. Litość ich zdjęła, więc zabrali się do cucenia. Najprzód tarli ze wszystkich sił piersi i dołek żołądkowy, następnie przekładali ciało na plecy, by woda wypłynęła. Lecz darmo. Bezwładnie padały członki na ziemię, czucia żadnego, a tętno u ręki stało jakby martwe.

Przypatrywał się tym płonnym zabiegom Włocz, krzątający się koło cucenia innych rozbitków. — Niepomóżecie mu, choćbyście sobie ręce urobili, rzekł do nich. — Pozwólcie, bym ja się nim zajął, bo ci tu, nad którymi się męczyłem, już tylko mogiły pragną; wszystko życie uleciało. Przystańcie jednak na to, że według dawnych praw i zwyczajów będę panem topielca, jeżeli go przebudzić zdołam —

Ocierając pot z czoła spojrział Goswin na Stojsława. — Gdybyśmy go przywrócili do życia, pewnie wysoka dostałaby się nam nagroda. Ale wszystkie środki wyczerpane, ciało martwe. Może też dawno już ten ksiądz nie żyje; odstąpmy go Włoczowi! Stojsław kiwnął, a Zwor odwrócił się ze zalem w oku, rozgniewany na twardego Włocza.

Ten, uzyskawszy prawo nad martwym ciałem, jął się pracy. Nalawszy jakiegoś płynu na szmat wełnianą, począł nacierać żołądek rozbitka, aż tu i owdzie mała czerwona plamka wystąpiła. — Już

dobrze, mruknął zadowolony, jeszcze życie nie wyszło z ciała. — Teraz uwiązał kawałek szmatu na patyczku i umoczywszy w glinianym garnuszku, począł nim lekko trzeć podniebienie topielca, który po chwili słabo mrugnął okiem i drgnął na całym ciele. — Wyśmienicie, rzekł do siebie Włocz, udało się, będzie albo grosz sowity, gdy się wykupić zdoła, albo sługa. —

Podniósłszy ciało, oparł Włocz głowę zwolna już oddychającego o spory kamień. W tem postrzegł pod lewem jego ramieniem sporą torbę, przypiętą po pasa, podtrzymującego rewerendę. — A to dopiero, tam ci miłosierni zamiast patrzyć dobytku, spracowali się daremnie. A tu pewnie więcej będzie, niż wartość reszty połowu. Jeżeli z dziesięciną jechał ten cudzy ksiądz, wystarczy zdobyć dla mych dzieci. — Tak mówiąc, chciwie począł odpinać guziki u torby, aż namacał coś twardego, starannie owiniętego w cienkie jedwabne chustki. Już odkrył jedną i drugą, aż przełękniony odskoczył, jak gdyby był coś najstraszniejszego zobaczył. Ale ciekawość i chciwość przemogły. — Czym się omylił; któż to widział, z trupiami głowami się wozic? — Ale i tą razą ledwie zajrzał do torby, prędko ją zapiął na wszystkie guziki, drżącym głosem cedząc przez zęby: — A to chyba czarownik, nie ksiądz. Cóż jemu po tym trupie, a jeszcze go tak starannie owinął? —

Tymczasem biedny rozbitek przychodził do życia. Westchnąwszy głęboko, rozwarł powieki, bezwiednym wzrokiem spojrzął przed się i znowu przymrużył oczy. Po chwili ruszył rękoma, spojrzął już pewniej na Włocza, wyjęknął kilka słów w języku, którego Włocz jeszcze nigdy nie słyszał,

i raptownie sięgnął ręką do lewego boku, u którego wisiała torba. Gdy ją namacał, podniósł dziękczynny wzrok pod niebo i szeptał uśmiechniętymi ustami cichą modlitwę, popadł w głęboki sen.

Włocz staranny o swą zdobycz, nakrył biednego księdza grubą siermięgą i zwrócił się ku towarzyszom, którzy z natężeniem wynosili szczątki rozbitego okrętu i przedmioty wyrzucone, by wszystko uchronić przed gwałtownie rzucającymi się wałami. Gdy przybyło silnego ramienia Włocza, prędko się skończyła robota. Wielkie skrzynie mocno żelazem obite stały obok kupy grubych konopianych lin i sprzętów żelaznych, należących do uzbrojenia okrętów. Dalej tworzyły połamane i ztarte w ostrym piasku płyty drzewa, pogruchotane beczki i kawały mięsa, wielki stół, czekający podziału.

— Wykopcie rozbitkom spólną mogiłę, — odezwał się Włocz do radośnie spozierających na zdobycz towarzyszków, — a ja ze starym Zworem wrócę do wsi, żeby przyjechały wozy po nasze skarby. Tego księdza zabiorę na barkach, bo zamroziłby się —

To mówiąc przystąpił do ciągle jeszcze śpiącego księdza i podniósłszy go, wziął na ręce jak dziecko i silnym krokiem udał się do Rumi. — Biedny rozbitek! Czy pomyślał, jaki los czekać go może? —

2. Niewolnik.

— Tomisławo, otwórz prędko chatę, bom już ustał pod ciężarem! — Tak zawołał Włocz, stukając do drzwi niskiej chaty, poszytej słomą, po której gęsto się spuszczały drążki. W moment zarumotał skobel drewniany, a niewiasta jeszcze mło-

da, żona Włocza, ubrana w kratkową suknię warpiową, na głowie nosząca burą chustkę na czole związaną w szeroki węzeł, wyjrzała zadziwiona z domu.

— A kogoż to niesiesz, Włoczcu? Póki żyję, ani twarzy, ani ubioru takiego nie widziałam. A jaki błąd! Pewnie to rozbitek nieszczęśliwy! Zanieśmy go na posłanie, bo ledwie oddycha! — Z głosu żalnego widać było serdeczne współczucie dobrej kobiety, która już pomagała mężowi, by mógł przestąpić niskie drzwi bez uderzenia chorego o powałę. Gdy go złożyli na posłaniu rozpostartem w kącie przestronnej izby, poczęli oboje ciągle jeszcze śpiącego rozbierać z namokłego odzienia i nakryli go ciepło, by krew w nim się rozruszyła.

— Oby jeno przyszedł do sił ten nieborak, żeby mógł wrócić do domu, boć to widać nie lada człowiek, a pewnie i ksiądz, — odezwała się Tomisława, wpatrując się w oblicze rozbitego; — czegoby z biednej chaty dać takiej osobie? —

— Nie kłopot się, — odparł ponuro Włocz, — będzie jadł co i my, a w ten ubiór pewnie się już nigdy nie ustroi, schowaj go, a wyporządź moją starą siermięgę, żeby miał co na się wziąć, bo on nasz i u nas zostanie, póki będzie żył, jak dawnym zwyczajem każdy rozbitek otrzeźwiony. Będzie nam pomagał w robocie mimo tych miękkich rąk, które pewnie wnet zeszywnieją. —

Biedna kobieta, której oczy na takie słowa łzami zaszyły, błagalnie spojrzała w twarz męża, lecz ostra stanowczość wypisana głębokimi zmarszczkami na groźnem czole jego obrała ją z wszelkiej otuchy. Łkając tylko rzekła: — To biedny, a nadto ksiądz! Pan Bóg będzie nam to pamiętał!

Zadany mąż odwrócił się i przystąpił do dwu malców jasnowłosych, bosych w same tylko koszulki ubranych, którzy z podziwienia byli prze-rwali swą zabawę przy szerokiem tle. Jeden miał dopiero dwa lata, drugi, pięcioletni, o ślicznej, otwartej twarzy, już miał włos na czole przyszczy-żony, reszta kędziorów spadała na fałdzisty kołnierz koszuli, podwiązany wąską czerwoną tasiemką. Ojciec go pogłaskał na powitanie i dał mu maleńką płytę stalową, ślicznie opolerowaną.

Ledwie malec na nią spojrzał, gdy się na całe gardło rozśmiał i spytał ojca: Czy w tem że-lazie są małe chłopcy? Wej ten, jak się do mnie śmieje! Patrz Bożku, patrz jaki ładny chłopiec! — Ale i Bożek mały, stojący za plecami brata, skoro rzucił okiem, zawołał zdziwiony: — matko — Dar-goś w pudełku! — a w ten sam moment i Dar-gosław krzyknął: — „Wej, matko, za tym chło-pcem Bożek stoi — i skoczył do matki z Bożkiem, ale już go nie było w cudownem żelazie, jeno sama matka, zapłakana jeszcze, uśmiechała się z gładkiej stali do swego najstarszego, który tą zmianą zu-pełnie odurzony, nie wiedział co już począć.

Oglądając więc z każdej strony stalową płytkę, próbował, czyby jej otworzyć nie mógł. Ojciec uradowany zdziwieniem chłopca począł mu tłoma-czyć: — To stal, mój synie, tak gładko otarta, że wszystko się w niej odbija jak na dnie wody; zna-lałem ją w kieszeni jednego rozbitka. W Pucku w kościele widziałem przy ołtarzu, gdzie ksiądz odprawia nabożeństwo, aż dwie takie, a większe, i tak ustawione, że byle spojrzeć w nie, wszystkich ludzi i cały kościół w nich widać. Zotrzymaj to zerkadło dla siebie na zabawkę. A teraz obejrzyj

naszego parobka, którego uratował od śmierci, żeby nam darmo pomógł robić przy domu i w polu.

Malec nieśmiało przystąpił do leżącego na sianie i spojrzawszy w twarz jego, zalał się łzami. Ojciec, rzekł, niech on idzie do domu, jak wyzdrowieje. Patrz, matka płacze, że go chcesz zatrzymać. Ja już podrastam. Ja będę większy, pomogę Ci orać i siał. Puść go, żeby matka się rozweseliła. Już niechęć tej zabawki. Weź ją i sprzedaj, gdy pojedziesz do Gdańska. Tam wielu bogatych ludzi, może kto kupi dla swego dziecka, a może nawet temu młodziuchnemu synowi księcia mógłbyś ją sprzedać, który tu w lecie przejeżdżał z matką swoją. On Ci dobrze zapłaci, i będziesz mógł urządzić inszego parobka. —

Włocz, dopiero wesóły, znowu sposepniał i straszna chciwość, nieprzyzwyczajona ni żony płaczem ni dziecka prośbą, malowała się na twarzem obliczu jego. — Nie wiesz, co mówisz, chłopcze, — wrzasnął po chwili, aż dziecko płacząc się skryło we framudze u ceglanego pieca, — niewiesz, co mówisz, bo parobkowi trzeba płacić, a ten musi pracować, póki ja żądać będę i niebędzie pobierał nic prócz strawy i odzieży. —

Domawiając tych słów, usiadł Włocz na wie przy dębowym stole i oparłszy się na łokcie patrzył to na chorego, który ciężko odychał, cięple jeszcze spał, to na okno, w którym zamieszklanych szyb były wyprężone pęcherze w szczy maczane. Po chwili się zerwał. — A torbę gdzie podziałś, — spytał się żony krzając się koło tła, by zgotować prosty posiłek, trzeba ją ze wszystkim, co w niej ukryte, zabrać na rozstajnych drogach, bo to czarodziejskie rze-

Zamiast pieniędzy zabrać, gdy okręt tonął, obciążył się trupią głową. —

— Zostawże mu przynajmniej torbę, — odrzekła błagając kobieta. — Zdaje się, że wysoko tę głowę cenić musiał, kiedy ją przed wszystkim innym chciał zachować. Czarów pewnie obawiać się nie potrzebujesz, boć to widocznie ksiądz, a może tanto i święty. Zawiesiłam ja torbę na balce nad postaniem. —

Zniecierpliwiony Włocz nic nie odpowiadał, jeno zjadł stawę i poszedł szukać jakieś drewno, które przymierzał w kącie pokojowej po drugiej stronie sieni. Przebudzony przez syk skotem strugalnika, zaczął się nasz biedny Tomisława poruchiwać na postaniu, aż się otrzeźwił. Wtedy z przerażeniem rzucił po izbie. Postrzegłszy to, Tomisława wzięła trochę kaszy do miseczki glinianej i podała ją z kępką drewnianą choremu. Ten przemawiał do niej wskazując niby czegoś, ale w języku niezrozumiałym dla niewiasty. Lecz czegoż nie domyśliła się Tomisława z serce! Wskazała na torbę zawieszoną nad postaniem, a słaby jeszcze rozbitek wzniosł do niej ręce i począł się serdecznie modlić, wlepiwszy wzrok w postać, która miot tyle mu drogi. Następnie zjadł trochę i wstał na skronie, prosząc niby czegoś. Tomisława dotknęła się czoła jego i przekonała się, że gorączka je zupełnie rozpałała. Ścisnęła więc chustką głowę chorego, za co wyraz dziękczynny dostał się dobrej kobiecie.

Włocz poszedł we wieś, by mieć udział w podziale zwiezionego już połowu i pod wieczór wrócił z wielkim ciężarem sprzętów żelaznych i drogich materyi w sukniach i całych sztukach.

Na drugi dzień przebudziwszy się, przystąpił

Włocz do posłania naszego rozbitka i ostrym
sem zawołał: — Wstań! — Biedny, widocznie
mięszary przyjemnym głosem począł coś mówić,
jakby dziękował gospodarzowi za ocalenie, bo i
jego słowa serdecznie, choć jeszcze słabiuc
Ale Włocz nie zmieszał się. Wskazał na leżąc
ziemi ubranie stare i kazał mu się odziać. I
słyszając widocznie coś złego, usłuchał roz
wnet klęknął na gołej ziemi do serdecznej
dlitwy. Tymczasem weszła Tomisława i nanieci
ogień, z którego się po całej izbie dymiło, bo
miast komina była nad tłem tylko spora dzi
w dachu, zgotowała skromny posiłek. I ksiądz
bo widocznie był głodny. Następnie kazał mu W
pójść za sobą i zaprowadził go do owej kom
niezważając na powolny krok chorego. Z je
strony była w ścianie okiennica, którą Włocz pr
otworzył, by wpuścić światła dziennego. Na p
ciwległej stronie stało jakieś rusztowanie, biedn
rozbitkowi wcale nieznanie.

Włocz przystąpił do owego rusztowania i
prawszy opałą z miecha trochę ziarna, ws
do wielkiego lejka na wierzchu przymocowan
Następnie ujął rękojeść zupełnie nową i począł
koło rusztowania obracać, które jakby nabrało ży
bo kamień wierzchni począł się obracać na spod
który ciężko zachrupotał, a mocne słupy dźwiga
cały przyrząd aż się zatrzęsły. Były to żarna
których praojcowie nasi mieli zboże, nietylko
ospę dla bydła, ale też na mąkę dla siebie. W
za garścią trocin od kamieni, które Włocz ost
nie odgarnął, zaczęło się u spodu do worka sy
pierwsze mlewo. Teraz Włocz ustąpił od
i wskazał księdzu, by się wziął do pracy. Bie

blady na widok przyszłości, która go czekała, drżącą rękę przyłożył do prętu i z nateżeniem popchnął go przed sobą.

— Dobrze, dobrze, — powiedział Włocz z nieludzkim uśmiechem na ustach, — nauczysz się wnet, a mnie odejmiesz ciężkiej pracy; ale żebyś nie myślał o ucieczce, trzeba cię przywiązać. — I wyjął z zapazuchy łańcuch, którym objął rękę biednego u stawów i przywiązał do owego prętu, a przy obu szypłach uwiesił kłódkę. Nieszczęśliwy rozbitek, widząc się teraz na prawdę niewolnikiem, potoczył błagającym wzrokiem po nielitościwym ciemiężycielu i spojrzał modląc się w górę, gdzie mieszka Ojciec liczący każde westchnie opuszczonych przez ludzi.

Ledwie Włocz opuścił komorę, aż drzwi się odemknęły, a mały Dargosław po cichu się wsunął. W litościwym jego oku zabłysła serdeczna łza, gdy spojrzał na wątłego rozbitka, mocującego się z ciężkimi żarnami. Jakoż prędko stanął przy księdzu i, jak dziecko, pogłaskał go jedną ręką po drżącym ciele, a drugą podawał mu kawałek podplomyka. — Matka dopiero go upiekła, mówił, patrz, jeszcze ciepły, zjedz, mnie się już niechce. —

Kto kiedy doznał wielkiego cierpienia i uczuł się opuszczonym przez wszystkich, ten pojmie radość biednego księdza na widok tak szczerego współczucia. Potrząsnął głową na dar, ale twarz jego podziękowała sownie malcowi za sprawioną ulgę.

— Jak ci na imię, pytał się dalej chłopczyzna. Ja jestem Dargosław. — Ksiądz pojał zapytanie i wskazując na siebie powiedział Pietro.

— Ach, toś ty Pietruś! — I malec powtórzył to imię, głaszcząc niewolnika. Ten, jakby

natchniony jakąś myślą, spojrział błagająco na dół i patrząc pod strop, złożył ręce jakby do modlitwy, a następnie rzucił okiem w stronę izby, w której Dargosław dopiero przyszedł. Chłopiec klasnął w dłonie i zawołał: — już wiem, gdzie jest swego torby, — i wybiegł do izby, a za moment wrócił z matką, niosącą, drogi skarb rozbitka. Wnet Tomisława upatrzyła miejsce dogodnie i wiesiła torbę na drewnianym gwoździu zatkniętym w ścianie. Książę spojrział na nią z podziękowaniem i wymówił kilka słów których treści nie mógł się domyśleć mogła.

3. Bóg pamięta o nieszczęśliwym

Minęło dziesięć lat ciężkiej niewoli dla króla Piotra, który nie mało się zmienił. Krok stał się cięższy, ręce zeszywniały, jak Włocz powiedział, a na twarzy okolonej grubo już zarostem wiałym włosem widać było niejedną smutną i głęboką zmarszczkę, którą chyba długie szczyty zatrzcęc zdoła. Bo też nie małych doświadczeń i skich doznał nasz niewolnik i sługa, któremu w dalekiej krainie pewnie nad kolebką nie śniła o strasznym zwyczaju nad morzem katarskim i o ciężkich żarnach.

Co tylko w gospodarstwie domowym dom się rąk pracowitych, to z woli Włocza przypadał naszemu rozbitkowi. Więc i w podwórzu i w domu i na klepisku musiał się uwijać, a jeżeli niezgodzajny takiej roboty ustawał, ciemne oblicze gospodarza i fukliwe słowo zmusiły do ostatniego wyznaczenia, żeby ochronić zaślepionego od rzucenia na pomazańca boskiego. Jedyłą pociechą był

szczęśliwemu litościwy wzrok biednej Tomiśławy obawiającej się kary nieba za ciężki grzech męża i obaj chłopcy, osobliwie szybko podrastający Dargosław, który już w niejednym księdza byłby wyręczył, gdyby zawistny ojciec, który się widocznie potajemnie czemś gryzł, jakoś wszędzie nie umiał przeszkodzić dłuższemu pozostaniu sam na sam syna z niewolnikiem. Mówili ludzie, że Włocz w dzieciństwie tych latach jeden raz był w Pucku u spowiedzi. Odtąd tylko dla oka chodził co rok raz do kościoła, lecz do spowiedzi nie przystępował. Gdy pierwsi zakonnicy w białych habitach przybyli roku 1170 pod Gdańsk i założyli Oliwę, nasz Włocz wybrał się do nich na tydzień, by pomóc przy budowaniu. Widocznie sumienie jeszcze nie uśpione domagało się czegoś. Po tygodniu przystąpił do najstarszego księdza i prosił o spowiedź. Ale i tą razą odszedł zachmurzony, a w domu wymyślał na wszystkich, którzy mu w czem nie dogodzili. Z innymi gospodarzami niechętnie się schodził, bo za często musiał udawać, że nie słyszy zapytań o losie niewolnika, którego nie wypuszczał za zagrodę, żeby uśpić pamięć o nim.

Ten przynajmniej tyle skorzystał z częstego wiania się z Dargosławem i podrastającym też dzieckiem, że poduczył się kilkudziesiąt wyrazów kaszkich i jako tako mógł się wszystkiego dorobić, co nakazywał opryskliwy Włocz, albo jakimś powiadał który z młodych przyjaciół. Ale mimo wszystko, jakież to ból dojmował biednemu chłopcowi na myśl o dalekiej ojczyźnie, o krewnej rodzinie, o wolności! Bądź przekonany, że na całe życie będziesz skazany słuchać każdego słowa złego człowieka, który nawet chwilki wytechnie-

nia ci nie życzy, a przyjaznego słowa dla ciebie w sercu nie ułoży, a pojmiesz nieszczęśliwe życie naszego przyjaciela. Jedyłą otuchą w kłopotliwym położeniu była mu serdeczna modlitwa przed ową tajemniczą torbą.

Dziś zastajemy księdza Piotra znowu przy żarnach w owej komorze, którą z pierwszego dnia nędzy jego znamy. Ksiądz przywiązany za jedną rękę, obraca w regularnym biegu kamień, z pod którego się sypie grube mlewo. Pod belką wisi najdroższy skarb rozbitka, a w jednym kącie widzimy trochę ułożonego chędogo liścia i siana; to poślanie biednego.

Wzrok jego spoczywa co chwila na owej torbie, a wargi poruszają się w cichej modlitwie, przerywanej często głębokiem westchnieniem. — Boże miłosierny, — mówi on żałosliwie, — pókiż ciężkiego doświadczenia! Już opadają me siły, a wątłe nogi ledwie dźwigają ciężar ciała wycieńczonego ciężką robotą. A w sercu żalóść, boć pociechy duchownej już od dziesięciu nie doznałem! Pozwól Panie, bym za wstawieniem się św. Barbary mógł rychło przyjąć do serca Baranka Bożego! Dodaj mocy i cierpliwości, bym się tu w nędzy Tobie spodobał! — I zaczął łkając odmawiać kompletę z pacierzy kapłańskich, którą umiał na pamięć. I mówił ten śliczny psalm „Kto się w opiekę“, który dziś śpiewamy w każdym utrapieniu. Z jakąż to uwagą zastanawiał się nad każdym słowem tej wzniosłej pieśni! Gdy zaś począł mówić słowa Symeona: Teraz puszczaj Panie sługę Twego, albowiem widziały oczy moje zbawienie, któreś zgotował . . . , płakał jak dziecko i prosił Boga: —

echże zobaczą tego oczekiwanego przez wszystkie
rodziny! Święta Barbaro módl się za mną! —

Ukończywszy pacierze, zanucił rzewnym głosem ową antyfonę łacińską: „Salve Regina“, która w naszych kościołach się rozlega w niezrównanej harmonii pieśni „Witaj Królowa!“

Gdy biedny niewolnik tak się modlił samotnie w chacie, na zachodnim końcu Rumi powstał mały gwar, który wszystkich mieszkańców z chat wabił. Drogą od Redy wjeżdżał liczny orszak wojnych i zbrojnych wojowników, a za nimi na białym lekkim siwku jechał wysoki, poważny mąż w czerwonym kapeluszu i w brunatnym cienkim płaszczu, z pod którego wyglądał ciężki złoty krzyż wieszający się na długim złotym łańcuchu. Stopy tego jeźdźca spoczywały w szerokich strzemionach, a gdy jadący przed nim tylko wąziutkie, choć ciężkie mieli od dziś używanych. Po obu stronach tego stojnego jeźdźca trzymało się trochę za nim dwu czarne długie suknie ubranych mężczyzn, widocznie księży. Za nimi konno jechali słudzy a w tyle dwa wozy ciężarne, oprężone silnymi czwórkami. Wzrostem i broją na czele w ciepłych ciężkich ubiorach, jak i tego stało, mieli każdy przez piersi przepasaną skórą pasową wstęgę, na której wyszyte były jakieś znaki przystrojone u wierzchu biskupim kruszcem. Broń ich stanowiły ciężkie miecze, które przez siodła przełożyli, i łuki z kołczanami i nemi strzał ostrych, przypięte u lewego boku dęł.

Właśnie ksiądz biskup Kamiński, z Kamienia Morskiego, bo to był nasz dostojny jeździec, wjechał do wsi poruszając się w siodle, bo widocznie tej jazdy nie był zwyczajny.

— Księżę kapelanie, — przemówił do jadącego po lewej stronie księdza, — możnaby się spytać, jaka to wieś i czy daleko jeszcze do tego nowego klasztoru. Gdyby jeszcze daleko, możnaby się obejrzyć za gospodą i popaść trochę, bo doprawdy już się męczę nie mało. —

Usłużny ksiądz zboczył do najbliższej chaty, z której ciekawie patrzyła niewiasta na przejeżdżających i wnet wrócił do księdza Biskupa.

— Wieś ta Rumia się nazywa, dostojny Panie, a ztąd do tego klasztoru jeszcze jako półtrzęcej mili, więc opłaciłoby się stanąć, ale gospody żadnej tu niema. —

— To możeby stanąć w domu jakiego z włościan, ale patrzmy który najszlachudniejszy. —

Tak jada przez wieś, przypatrując się chatom ciosowym, niepewni, do której zastukać. Naraz słyszą śpiew męzki, pełny, a niewymownie rzewny, na nutę czysto kościelną. Ksiądz Biskup zatrzymuje konia, a z nim obaj towarzysze i wszyscy trzej przysłuchują się wzniosłemu śpiewowi pochodzącemu z chaty. „Eja ergo, advocata nostra“ (otóż więc, orędowniczko nasza) ciągnie pewna wysłuchania nuta, i silnym porywem piersi woła: „illos tuos misericordes oculos ad nos converte!“ (owe Twe litościwe oczy na nas zwróć).

— A to niespodzianka! — zawołał ksiądz biskup. — Księżę kapelanie, przekonajże się, kto tam w środku ziemi kaszubskiej tak pięknie i wzorowo nauczył się śpiewać po łacinie. Może też w tej chacie będzie można spocząć, bo jeżeli gospodarz łacinnik, będzie wiedział, jak nas przyjąć i jak nam posłużyć. —

Już się ksiądz kapelan zsunał z konia i po-

dażył do chaty. Kilka okamgnień potrwało, gdy wrócił zdziwiony czemś nadzwyczajnem, czego widocznie pojąć jeszcze nie mógł.

— Tam cudowne rzeczy się dzieją, — wyjęknął nakoniec. — Wehodge do chaty i szukam człowieka, lecz w przestronnej izbie nikogo nie zastałem. Idę tedy do komory, a tam widzę starca o wzniosłej postaci, obracającego w ubiorze tu-tejszych krajowców żarna. Pytam go się, czy on tu gospodarzem, a on na to po łacinie odpowiada: — nie gospodarzem, ale rozbitkiem jestem i niewolnikiem już od dziesięciu lat tu haniebnio trzymanym, choć jestem biskupem rzymskiego kościoła; pomóż jeżeli masz serce litościwe! —

Wiadomość tak niespodziana uderzyła wszystkich. Ksiądz Biskup siedział nieruchomy z oznakami zdumienia na twarzy, a bliżsi zbrojni schylił się w siodłach ku księdzu kapelanowi, by usłyszeć każde słówko. Na koniec przerwało się milczenie. Jeden drugiemu szepce niepojęte jeszcze słowa: biskup, niewolnik, które się błyskawicą po całym orszaku rozniosły.

— Wyprowadzić go z chaty, bym się mógł o prawdzie przekonać! — zawołał Biskup.

— Trudno, przewielebny ojcze, — odparł kam, — bo przywiązany łańcuchem do żarna. —

— Ja, ja go odbiję! Pozwólcie mnie księżę kupie, mnie samemu! Tą szablą rozetnę wszystkie ogniwa, choćby na palec grube, jak miękkie owie! — I już stanął silny drab sążnistego wzro- przy koniu Biskupa i wywijał potężną szablą koło siebie, jakby wszystkich chciał odpędzić. — j jednej łaski dozwólcie waszemu Siszle, a będę content na całe życie. —

— Więc idź Siszło, a spraw się prędko i do-
brze! —

— To już zdajcie na mój siekacz. Ani włoska u ręki mu nie utnę, a wolny będzie, — zawołał uradowany olbrzym i jednym skokiem zginął w chacie, porwawszy księdza kapelana na przewodnika.

Gdy stanął w nędznej komorze i zobaczył wyschłego starca ledwie się wlokącego przy ciężkich żarnach, aż podskoczył i przypadł do nóg osłupiałego. — A te niewartusy, te pluchy, świętego męża, biskupa, tak męczyć! — Wyjąkując prędko te słowa, przytulił wychudłą rękę niewolnika do ust i gęstemi ją pokrywał pocałunkami. — Ale damy im, — zawołał wstając. — No, żeby was naprzód uwolnić od tych brząkadła, podnieście tylko, wielbny ojcze, tę rękę przywiązaną, żebym się pod nią mógł dobrze zamierzyć! —

Niewolnik, jeszcze jakby we śnie, podniósł rękę, miecz świsnął przeraźliwie w powietrzu, i łańcuch za jednym cięciem opadł przerznięty jak kručze drzewo.

— To jedno, ale nie wszystko, — zawołał radośnie olbrzym, gdy nasz przyjaciel wznosił objętą jeszcze ogniwami rękę, cicho się modląc — Połóżcie jeno tę rękę tu na słupie, żebym mógł przeciąć pałak u kłódki. Cobyto nasz Biskup mówił żebym was z łańcuchem wyprowadził. Nie lękajcie się, mam pewną rękę. —

Niewolnik obawiał się, lecz ksiądz kapelan, znający wprawność Siszły, dodał odwagi. Dłoń wyprężona spoczęła na krawędzi słupa, na którym nasz pocieszny szermierz ułożył kłódkę, już zamierzył się, ugodził w żelazo, i łańcuch brzęcząc spadł

na glinianą podłogę, bo kłódka w samym zamku była przecięta.

— Teraz pójdźmy do naszego pana, — zawołał Sisza i wszyscy trzej wyszli przed chatę. Ksiądz biskup Kamiński zsiadł już z konia i przeżony czekał na wół martwego niewolnika, który w ubiorze lichym, połatanym, z twarzą pooraną tyłu trudami i nieszczęściem, chwiejnym krokiem raz pierwszy od dziesięciu lat wolny, stąpił bez obawy przed strasznym Włoczem.

— Miłosierdzia i pomocy dla nieszczęśliwego!

— wyjęknął ksiądz Piotr.

— Kim jesteś cudzoziemcze! Cokolwiek biskup Kamiński dla ciebie uczynić zdoła, wszystko się stanie. —

— Biskupem włoskim, — odpowiedział po łacinie, — i posłańcem papieskim jestem czy byłem, bo długie trudy niemal wymazały pamięć dawnej godności z duszy dotkniętej ciężkiem doświadczeniem Opatrzności. Dziesięć lat temu wysłał mnie Papież ze Rzymu we ważnej sprawie do Danii. Wiatr przeciwny nie pozwolił nam przybić do wyspy, na której król mieszka, i zapędził nas blisko tych brzegów, gdzie mnie, rozbitka, spotkał taki los. O ile wyrozumiałem od mego ciemiężyciela, jakieś prawo nieludzkie przykuło mnie do tej chaty. Ach wybaw mnie, potężny księżu Biskupie! —

— A jakże Ci na imię, i do kogo miałeś się w Danii udać, żeby ułożyć wszystko według życzenia Ojca św. —

— Jestem Piotr, a zlecono mi pracować nad pogodzeniem lekkomyślnego króla z ludem ciężko dręczonym, za pomocą biskupa w Rothskilde. —

— Wszystko się zgadza, — zawołał Biskup

Kamiński do ciekawie otaczających go zbrojnych i do obu księży. — Przed dziewięciu laty pisał Ojciec św. do mnie i do wszystkich biskupów nadmorskich, czy nie wiemy o losie posła jego, biskupa Piotra, któremu takie właśnie dał zlecenie, jak ten nieszczęśliwy powiada, a o którym prócz nas i samego Piotra nikt wiedzieć nie mógł. A więc witam Cię, długo za zmarłego uważany biskupie, przemówił do drżącego z wzruszenia i nadziei biskupa; witam cię, posłuszny synu Kościoła. — I w rozrzewnieniu przycisnął ów księżę kościoła, otoczony licznym zastępem, spracowaną dłoń swego brata w siermiędze do ust i długi na niej złożył pocałunek.

To samo uczynili obaj księża i zbrojni towarzysze Biskupa, rozrzewnieni tak porywającym widokiem. Olbrzymi zaś Siszła, nie odstępując ani na krok wybawionego, uśmiechał się płacząc z radości, i stojąc za nim, brząkał palcami po mieczu: — A toś się przecież na co przydał mój siekaczu ostry; ani szczyrby po tej próbie na żelazie; będę cię też kochał teraz, ale tych dręczycieli jeszcze ukarzesz mieczyku! —

— Ale jak teraz sobie postąpić? — Ciągnął dalej Biskup Kamiński do szczęśliwego jeńca. — Jakiem prawem cię tu zatrzymują, nie wiem, ale jadę do Gdańska, by zwiedzić księcia. Sprawa nagli, więc proszę cię, kochany bracie zostań w tej chacie do jutra, ja tymczasem wyrobię ci u księcia wolność i jak najspieszniej wrócę do ciebie. — Do drugiego zaś księdza się zwracając, powiedział po słowiańsku: — Księżę kanoniku, pewnie zostaniesz przy nieszczęśliwym Biskupie do jutra, żeby

go uchronić od wszelkiego przypadku. Może też kilku zbrojnych zotrzymasz przy sobie. —

— Mnie, mnie, — zawołał nasz Siszła wysuwając się na przodek; — ja tu pewnie więcej obronię niż ksiądz kanonik. Jeszcze pięciu nam dajcie, księżę Biskupie, a choćby cała wieś się zebrała, popędzim ich aż do morza i spławim tych łotrów. A tego ciemieżyciela — oj połączę po żebrach! — Ksiądz biskup się rozśmiał nad prostotą swego bohatera i przystał na jego żądanie. Jeszcze się pożegnał z uszczęśliwionym niewolnikiem i prędko ruszył tabor biskupi ku Gdańskowi.

4. Biskup Kamiński u Sambora I.

Byłeś już kiedy nad morzem kaszubskim w pobliżu Oliwy? Wyżyny pomorskie, które od Żarnówca aż do Oksywia nie zbliżają się do samego morza, ztąd aż po Gdańsk tulą się przy brzegu błękitnych fal, zostawiając miejscami tylko ćwierć mili dla piaszczystej równiny, którą sobie igrające bałwany stworzyły. Sto stóp i więcej unoszą się tu strojne wierzchołki naszych gór niemal prostopadle nad płaszczyzną, porośniętą bukiem, dębem, a tylko miejscami sosną. Stoki wyżyn po stronie morza gęsto są poprzecinane parowami i urwiskami, które rozmaicą widok i przysparzają piękności okolicy. Tak jadąc u podnóża gór, masz po jednej stronie zielone lasy a po drugiej błękitne fale naszego morza, pietrzące się w oddali jak białe, masywne góry, po których wierzchołku wolno przejeżdża statek z rozpuszczonym żaglem.

Pięknie tam jest i pięknie było, odkąd mowującym głosem coś jakby powiadało powa-

źnie słuchającym gór. Dziś stojąc na najwyższym wierzchołku onego pasma, na Karlsbergu pod Oliwą, możnaby zapomnieć o naszej niedoli i nędzy.

Ksiądz Biskup Kamiński jadący tedy z Rumi, tak był zaprzątiony świeżem zdarzeniem, że ledwie spojrzał na piękną okolicę. Zapominając o strudzeniu, na które godzinę przedtem narzekał, rozkazał swym zbrojnym, nie żałować ostrogi i sam popędzał swego bieguna, by czempredzej stanąć w Gdańsku. Ledwie w Redłowie trochę dał wytchnąć koniom, przyczem sam się z orszakiem posilił, i już dalej ruszył w podróż, ciągle przemysłiwając nad nieszczęśliwym losem tak wysokiego dostojnika.

Tylko bliżej ku Oliwie zjeżdżając, pofolgował koniowi, ciekawie się przypatrując nowemu klasztorowi, który nieboszczyk książę Subisław i właśnie wtenczas żyjący Sambor I. hójnie uposażyli. Już folwark nad drogą cały był wybudowany, a na podwórzu krzątali się w milczeniu zakonnicy w czarnych habitach pod dozorem jednego w białej szacie, więc księdza, bo u Cystersów księża szarawy nosili ubiór, a lajcy ciemny. Zabudowania klasztorne też już były na wykończeniu, tylko sam kościół, dziś jeszcze ozdoba tamtej okolicy, ledwie połową murów wzyierał ze ziemi.

Jeszcze dobre pół godziny, a orszak biskupi stanął chwilę przed zachodem w Gdańsku. Wolnym krokiem sunęły się konie przez świeżo powstające wtenczas ulice po lewej stronie Motławy zamieszkane przez obcych kupców, którzy się sprowadzili z Lubeki i Bremy, sławnych miast hanseatyckich. Ciekawie patrzeli mieszkańcy na wspomniały pochód, aż stanął nad rzeką leniwie płynącą

ku Wiśle. Tam z drugiej strony podnosiły się warowne mury obszernego zamku z wieżyczkami i basztami, na których szczytach stali zbrojni czatownicy. W koło zamku ciągnął się głęboki rów na trzydzieści stóp szeroki, pobierający wodę z Motławy. Opodal stały liczne domy i domki mieszczan starodawnych pomorskich, trudniących się przeważnie rolnictwem i rybołówstwem.

Przystęp do zamku był tylko możebny po moście, który w tej chwili był spuszczonej, ale grube łańcuchy kazały się domyśleć, że w przypadku wojny można było cały most na stronę zamku podnieść. Zaraz przy moście była w murze wysoka i ciężka brama, obok której dwie sterczały baszty z murem u wierzchu zębatym, dającym strażnikom pewne schronienie przed strzałami.

Ledwie ksiądz Biskup stanął nad mostem, kazał według zwyczaju ówczesnego zatrąbić jednemu ze swych zaciężników. Głos trąby odpowiedział z zamku i ciekawe oczy, wyglądające z pod stalowej przyłbicy, wyjrzały z za przymurku.

— Kogoż mam obwieścić? — spytał się donośnym głosem strażnik.

— Ksiądz Biskup Kamiński przybywa w gości do miłościwego księcia Pomorskiego odpowiedział trębacz.

Za chwilę skrzypnęła brama na ciężkich wrzeczadkach i orszak biskupi wjechał na obszerny dziedziniec, napełniony ciekawymi sługami i zbrojnymi. Ledwie się brama zamknęła, już gospodarz domu, ksiązę Sambor, wyszedł z kilku dostojnikami, powitać gościa. — Bóg wam zapłać, dostojny księże Biskupie, za przyjazną pamięć. Wstąpcie do zamku po tej jeździe konnej pewnie dla was nie-

zwyczajnej i odpocznijcie jak w własnym domu, całym sercem witam was. — Tak mówi książę, mąż w najlepszym wieku, słusznego wzrostu i przyjemnego wyrazu twarzy, i całując biskupi pierścienią, szczerze uściskał miłego gościa. — Wasza Wielbność przybyła w sam czas, bo jeżeli poczekacie z tydzień w moim zamku, poznacie się z opatem Kolbacza i z księciem Grzymysławem, stryjecznym bratem moim, których zaprosiłem do siebie. Ale pójďte, bo tam moja białołowa czeka na was z powitaniem i posiłkiem. —

Książę Biskup, widocznie przygotowany na tak serdeczne przyjęcie, uściskał rękę Sambora i ukłonił się dostojnikom dworu, trzymającym się trochę opadał.

— Dawno się wybierałem do Gdańska, miłościwy księciu, żeby wam okazać przywiązanie i uczczenie ku prawemu synowi mego nieboszczyka przyjaciela, księcia Subisława. Szkoda tylko, że i tą razą może niezadługo będę mógł zabawić, bo wydarzyła mi się po drodze niespodzianka, którą opowiem, skoro odetchnę po podróży i powitam waszą małżonkę. —

I weszli do zamku wysoką sienią o kamiennej posadzce; niebawem stanęli na piętrze w przestronnej komnacie, przystrojonej różnemi zbrojami i rzeźbionemi sprzętami.

Po serdecznem powitaniu z księżną rozgościł się Biskup i wypoczął po nużącej podróży. — Chciałem się przypatrzeć waszemu szczęściu domowemu i pozostać ze dwa tygodnie w Gdańsku, ale słuchajcie, co się stało. — I tu odpowiedział książę Biskup, jak szczęśliwym przypadkiem dowiedział się o dostojnym niewolniku w Rumi, jak się przekonał

o prawdziwości jego słów i jak sobie postąpił, by zapewnić mu bezpieczeństwo aż do wybawienia. — Jeże i owemu gospodarzowi prawem tutejszem dozwolono, — ciągnął dalej, — uważać biskupa za swego niewolnika, może wasza książęca miłość chciałaby go skłonić, by przyjął odpowiedni okup, który chętnie wyłożę, byleby puścił swego niewolnika.

— Puści go bez okupu, — odrzekł gniewliwie Sambor, który z niemałym oburzeniem słuchał Biskupa i tylko przez uszanowanie powstrzymał się od przerwania słów jego. — Puści go bez okupu, — powtórzył targając gęstą brodę i ściągając pięść, — a pewnie jeszcze głowę położy za taką zbrodnię. Już lat piętnaście albo więcej, jak nieboszczyk mój ojciec wydał na cały nasz kraj rozporządzenie, by tylko rzeczy martwe wyrzucone przez bałwany morskie należały do mieszkańców nadbrzeżnych, osoby zaś mają puścić wolne za okupem miernym. Książęcą władzą swoją zaręczam, że surowo ukarzę tego zbrodniarza, by wszystkim dać przykład sprawiedliwości. A jaka to nikczemność! Nawet duchownej godności nie uląkł się podły cheiwiec!

Domawiając tego szybkim głosem, zdradzającym wzruszenie serca, wstał książę i uderzył małym srebrnym młotkiem o stalową tarcz, wiszącą u filaru śród komnaty. Na głośny dźwięk wszedł zbrojny Pomorzanin po rozkaz księcia.

— Zawołać mi tu pana wojewodę, by zaraz przybył!

Posłuszny wyszedł ciężkim krokiem, a książę prędko się przechadzał po komnacie, co chwila przystawając, jak gdyby układał jakiś zamiar.

— Pojedziemy obaj, czcigodny księżę Bisku-

pie, sam chcę na miejscu się przekonać o tej zbrodni i ukarać winowajców.

W tem rozwarły się podwoje i wszedł wojewoda gdański, słusznego wzrostu, krzepkiej postawy, na pierwszy rzut oka stanowczy w radzie i mężny w boju.

— Panie Kozłowiczu, — rzekł książę do witającego się z księdzem Biskupem, — złą nowinę przywiózł nam gość pożądanym. W naszym kraju, w Rumi pod Oksywem, poseł papieski i biskup już od lat dziesięciu niewolnikiem jest u kmiecia jakiegoś. Tylko zrządzeniu Opatrzności winniśmy odkrycie tej zbrodni. Myślę tam pojechać zaraz jutro, więc raczcie wszystko przysposobić na podróż, byśmy przed południem wyruszyć mogli. Będziecie nam towarzyszyli jako pierwszy doradzca i urzędnik dworu.

— Chętnie wszystko przysposobię; lepiej sam książę miłościwy dojdzie wszystkiego i słusniej rozsądzi niż sługa jego. Gdy pan sam odprawi wiec sądowy starym zwyczajem, największe pozostawi wrażenie na poddanych. Dobrej wam nocy i opieki Boskiej życzy wierny sługa.

— Nie tak prędko, wojewodo kochany, — odparł książę; — idź i wydaj rozkazy potrzebne, a potem wróć do nas na ucztę, bo wypada uczcić gościa tak ukochanego, choć przykra wiadomość nie mało nas wzruszyła.

Wojewoda uklonił się i wyszedł.

— A teraz wielebny przyjacielu, — rzekł Sambor do Biskupa, — proszę do tamtej komnaty. Przedstawie ci mego syna Wracisława i pobawimy się w gronie mej rodziny. —

Komnata była mniejsza od pierwszej, przy-

strojona w piękne sprzęty wyrzynanej roboty. Wchodząc zastali księżnę, syna już niemal dorosłego i kapelana książęcego. Po serdecznem powitaniu przysunęła służba wysokie rzeźbione krzesła do niskiego kominka, z którego się miłe ciepło rozchodziło. Wnet zaczęła się rozmowa, której treścią mimowolnie był los nieszczęśliwego jeńca w Rumi, nad którym księżna z czułością niewieściego serca się żaliła.

— Przywieźcie go do Gdańska, — przemówiła do męża, — pewnie będzie słaby i wynędzniały. Tu mógłby się pokrzepić i po kilku tygodniach, dopatrzwszy dobrej okazji, wyjechać statkiem do Lubeki a ztąd puścić się w dalszą drogę do domu. —

— Tak, ojcze kochany, przywieźcie go. Jaki ja ciekawy, zobaczyć męża z tak dalekich stron, a tak światłego! Skoro sobie odpocznie, poproszę go, by mi opowiadał o Rzymie i o tych cudzych krajach, z których rzadko tu kupiec przybywa. Czem tylko będę mógł, uprzyjemnię nieszczęśliwemu pobyt w naszym zamku. —

— Zdajmy to na niego samego, czy będzie chciał nas uszczęśliwić swą obecnością, lub też inną drogą puścić się do domu, — odpowiedział książę, — ale przyrzekam wam, że starać się będę o dogodzenie politowania godnemu księdzu. —

Po krótkiej chwili dano znak do wieczerzy, na którą się też stawił wojewoda.

Na drugi dzień odprawił książdz Biskup w obecności całego dworu mszą św. w kaplicy zamkowej i wnet ruszyły dwa orszaki, książęcy i biskupi, do wsi, gdzie nasz Siszła strzegł oswobodzonego z niewoli.

Wyprzedźmy ich, by się dowiedzieć, co się tam stało.

Po oddaleniu się Biskupa Kamińskiego weszli wszyscy do komory, która wnet przybrała inną postać. Sludzy księdza kanonika, zdjęwszy z wozów idących do Gdańska tłomoki, rozpostarli na glinianej podłodze ciepły tapczan i obwiesili większą połowę ścian piękną makatą. Tam siadł nasz legat papieski z swym towarzyszem i rozmawiali o dziwnem zrządzeniu Opatrzności, wielbiąc Wszechmocnego. W drugim końcu stali zbrojni, bacząc na bezpieczeństwo dostojnego rozbitka. Siszła widocznie miał jakiś zamiar, bo wyszedł za próg i obszedł chatę, zaglądnął też do stodółki i stajen, jakby szukając kogoś. Nieznalazłszy nic, wrócił pomrukując sobie: — ówik, może będzie się chciał wysliznąć! — Dla pewności usiadł na progu komórki i czekał cierpliwie.

Po chwili gdy już ściemniać się zaczynało, zaturkotał wozik na podwórku. Siszła mrugnął brwiami. Niebawem uchylily się powolnie drzwi chaty i wsunął się Włocz. Wracał właśnie z pola, razem ze żoną i synami. Wjeżdżając do wsi, dowiedział się od sąsiadów o wypadkach ostatnich godzin i przerażony nie wiedział co począć. — Więc wszyszystko się wydało; tamten ksiądz pojechał do Gdańska, zapewne kara czeka! Mam uciec? ale dokąd, bez grosza, żonę i dzieci w domu zostawiając? Może z chaty zdołam zabrać trochę pieniędzy i czmychnąć, a jeżeli nie, niech się dzieje wola Boska, bo i tak ciężko mi na sumieniu, żyć jak nierozumne stworzenie bez spowiedzi i kościoła.

Wsunął się więc do chaty złękniiony, przygnębiony pewnością, że kara już nie minie. Spo-

strzegłszy olbrzymiego Siszłę z mieczem na progu siedzącego, więcej jeszcze się przeląkł i drżącą ręką szukał rzemyka do drzwi. Siszła tylko mru-gnął z ukontentowaniem, jak kot, gdy mysz na-koniec się zjawi.

Bokiem idąc i ciągle na groźnego wojownika spojierając wszedł Włocz do izby. Siszle już złość dopiekała.

— A tuś mi, braciszku złoty, najserdeczniej-szy przyjacielu, — wrzasnął stojąc już przy nim i groźnie mu patrząc w oczy. — Jeżeli masz przy-padkiem inne uszy na pogotowiu, prędko ich po-szukaj, żebyś mógł niemi makówkę swoją przy-stroić, bo tamte, co wyrosły przy twjej głupowatej twarzy, zgolę ci tym nożykiem przy samej kości i przybiję nad posłaniem, żebyś się im mógł przy-patrzeć na karę, żeś niemi tak źle słuchoł nauki w kościele, ty niewartusie, ty... — I dobytym mieczem począł Siszła już rozjątrzony wywijać prędkiego młyńca koło głowy Włocza, który cofa-jąc się drżał jak liść osinowy, aż stanął u ściany.

— Dam ja ci biskupów urządzać za parob-ków bez zasług i stroić ich w żelazne naramien-niki, hultaju, — i zamierzył ogromnym mieczem wprost na głowę przypartego do ściany, który prze-raźliwie wykrzykując zamknął oczy, gotowy na śmierć. Miecz w tem okamgnieniu gwizdnął i utkwiał w ścianie tuż przy samych uszach Włocza.

— Boisz się? a to tylko żart był! Lecz po-czekaj do jutra mój trusiul! —

— Czegoż tam wytrwarzasz, Siszło, — za-wołał w tej samej chwili ksiądz kanonik, przestra-szony głosem Włocza. — Powinieneś baczyć na bezpieczeństwo nasze, ale burd żadnych nie rób,

zostaw to księciu w Gdańsku, który rzecz sprawiedliwie rozstrzygnie! —

— Niech i tak będzie. Już wy nie puścicie się prawa, choć ten łotr przez dziesięć lat z niego się śmiał! — I cofnął się nasz wojak do swego progu, pilnie strzegąc każdego poruszenia Włocza.

Po chwili weszła lekliwie Tomisława z chłopcami. Siszę już świerzbiał język ale tą razą sam ksiądz biskup mu przeszkodził, tłumacząc łamaną polszczyzną, że od nich tylko współczucia i ulgi doznawał.

Ale na widok Biskupa nowa mu przyszła myśl.

— Księżę kanoniku, — zawołał, — z przeproszeniem, oswobodziliś tego czcigodnego księżulka, jednak zapomnieliś o czemś. Patrzenie tylko na ten ubiór. Czy się godzi, by taka osoba miała jeszcze nosić zdarte łachmany pewnie po tym łotrze! Ady gdybym ja te łaty wziął na się, pewnie bym w nich stracił tę kapeczkę rozumu, którą mam z łaski Opatrzności, i stałbym się tak głupim jak ten, co je nosił. Suknia grunt, ona dodaje rozsądku i powagi, jak nieprzymierzając mnie ta wyszywana kurta! Ubierzcież tego księdza inaczej!

— Niewiem w co, — odpowiedział ksiądz kanonik, — bo jak widzisz, mój wzrost nie równa się wcale biskupiemu. —

— To ja może poradzę. Ty tam, — zawołał na Włocza, przetrząśnij prędko sieczkę, którą naktaleś swą mózgownicę i przypomnij sobie, gdzie ukryłeś ubiór tego biskupa, boć pewnie w twoim stroju nie wypłynął z morza! —

Drżący Włocz spytał się coś Tomisławy i wnet sięgnął z poddasza spore zawiniątko, które odebrał Sisza. Wszyscy się usunęli, a za chwilę pokazał

się ksiądz Biskup w stroju tym samym, który miał na sobie, gdyśmy go poznali w półmartwego.

Siszła aż podskoczył. — Teraz przecie widać, co Biskup! — I z radości ucałował rękę uśmiechającego się legata.

Po chwili rozpoczęli księża wspólne pacierze kapłańskie, które Biskup po tak długim czasie odmawiał z rozrzewnieniem serca i z dziękczynieniem Bogu najwyższemu. Zanim się ułożył do snu, długo jeszcze klęczał przed torbą, której skarby też uczcili przytomni.

Siszła nie zamrużył ani oka, starannie bacząc na swój obowiązek i strzegąc, by Włocz nie opuścił chaty. Tak przesiadział na progu, aż po południu odezwały się trąby i tętent licznych koni, zwiastujący przybycie księcia.

5. Uwolnienie i kosztowny dar.

Świetny orszak stanął przed chatą.

— Sam księżę przyjechał z naszym Biskupem, — zawołał radośnie Siszła.

Zaraz opuścili obaj duchowni komorę, by uszanować pana tej ziemi, który wraz z księdzem Biskupem Kamińskim już był zsiadł na powitanie legata.

— I oto, miłościwy księciu, nasz niewolnik, — zawołał ksiądz Biskup. — A jak się przystroił godnie, jakoby wcale nie był przebywał w chacie pomorskiej. —

Siszła uśmiechnął się dobrodusznie.

— Załuję serdecznie, dostojny księżu, — rzekł Sambor do legata kłaniającego się, — że w moim kraju spotkało was takie nieszczęście, na

którego odkrycie dopiero przybyć musiał godny mój przyjaciel. Ale surowo dziś ukarzę zbrodniarzów. Tak, zbrodnia się tu stała, bo gdy morze was na brzeg wyrzuciło, już prawa tutejsze zabraniały przywłaszczania sobie rozbitków. Jesteście więc wolni, a gnębiel wasz utracił przez zbrodnię prawo na okup za ocalenie wasze. —

Radość i szczęście zajaśniało po tych słowach na twarzy legata. — Dziękuję, dziękuję, miłościwy Panie, za te słowa, które usłyszeć już od dziesięciu lat pragnę! — zawołał, roniąc obfite łzy.

— Nie dziękujcie, bo spełniam tylko powinność, a zaprawdę, chciałbym, by taki obowiązek nigdy mi się nie był przydarzył. Aleć trzeba go spełnić do reszty. — Panie wojewodo, — rzekł, zwracając się do swego towarzysza, wyślij trębacza na wieś, by wszyscy dorośli mężczyźni stanęli tu na wiec sądowy. —

Niebawem peczął się przeraźliwy głos trąby po wsi rozlegać, a mieszkańcy rychło się zebrali, bo i tak już część ich z dziatwą i białkami (jak tam niewiasty się nazywają) stała w pobliżu orszaku, przywabiona ciekawością na niezwykle zdarzenie.

Tymczasem służba książęca rozesała na murawie blisko domu Włoczowego skórę niedźwiedzią, na której ustawiła niskie krzesło. Tam się udał książę z obu Biskupami i wojewodą. W koło nich stanęli zbrojni na koniach, a za nimi niewiasty i dzieci.

— To aż Biskup był u Włoczów, — mówiła jedna. — Czegośmy to dożyli! Pomsta was dotknie Tomisławo i dzieci wasze, bo co grzech to grzech! Tomisława już przez cały dzień płakała. —

Niech się dzieje wola Boża; choćbym sama tu umrzeć miała, jednak się raduję, że to lichy się raz skończyło. Naprosiłam się mojego przez te lata co dzień, żeby się nawrócił, nie ścigał gniewu Bożego na się i dzieciom nie dawał złego przykładu, ale był twardy jak kamień. Śmierć go czeka widocznie; oby się tylko nawrócił i grzesznej duszy nie zatracił! —

— Uciszcie się, — zawołał w tej chwili wojewoda; — miłościwy książę i pan nasz rozpoczyna sąd. — Wszyscy zamilkli patrząc na Sambora, który usiadł na krześle.

— Smutno mi, — odezwał się książę, — iż w sprawie wszystkim wiadomej zasiadać tu muszę, ale dopełnię urzędu na tem miejscu otwartem, w obecności wszystkich, według zwyczaju prastarego. Niech tu w koło wystąpi ten, który gardził prawem i sumieniem przez lat dziesięć, zatrzymując u siebie tego dostojnika kościoła!

Włocz, przygnębiony, zbladły i niepewnym rzucający przed się wzrokiem, wysunął się naprzód i stanął w pośrodku koła. Postać jego była politowania godna; bojaźń i obudzające się sumienie wypisały się na spuszczonej jego twarzy, a nogi chwiałały się jak bezwładne.

— Niech wystąpią też ci, którzy owego dnia nieszczęsnego z Włoczem byli u brzegu morskiego!

I stanęło kilku mężczyzn już przykrzywionych wiekiem przed księciem.

— Czy wszyscy już? — zapytał książę.

Jeden z nich obejrzał się po gromadce i odpowiedział: — wszyscy, miłościwy Panie, ja, Goswin, z tym tu Stojsławem wynieśliśmy tego Biskupa

na brzeg, a stary Zwor, który był przy nas już nie żyje; z reszty też niejednen już pochowany. —

Księżę zwrócił się do Goswina. — Więc ty opowiedz wszystko jak było, a strzeż się kłamstwa!

Drżąc z obawy począł Goswin opowiadać całe zdarzenie po owej burzy, które już znamy. Reszta kiwaniem głową potwierdzała każde słowo Goswina.

— Włocz, — zawołał księżę, — przyznajesz się do wszystkiego? Zażądałeś od twych towarzyszków rozbitka, by go użyć na własne usługi; pod innym warunkiem nie chciałeś go ocucić? Trzymałeś tego Biskupa w niewoli przez ten czas, wiedząc, że prawo zabrania u nas niewoli? —

— Przyznaję, — odrzekł Włocz, a w głosie jego przebijała się rozpacz ze żalem, które walczyły z sobą w duszy jego.

— Panie wojewodo, — odezwał się znowu księżę, — jaką karą zagrażają prawa nasze takiej zbrodni? —

— Kto wbrew przykazowi odtąd rozbitka trzymać będzie u siebie w niewoli, ten ma ze związanemi rękoma zostać wrzucony do morza, by tam skończył, skąd dostał niewolnika, a majątek jego przypadnie po połowie kościołowi, po połowie uszkodzonemu, tak napisał nieboszczyk ojciec miłostwego księcia, — odparł wojewoda ponuro.

Głośnie łkanie i rozpaczliwy okrzyk bólu kilku osób w gronie stojących za kołem przerwał uroczystą ciszę towarzyszącą słowom wojewody. Był to głos nieszczęśliwej Tomisławy i obu jej synów. Biedna niby już była przygotowana na ostateczność, a jednak słysząc wyrok prawa, dopiero uczuła nieskończony jego ciężar! Niewiasty obok niej stojące

poczęły ją tulić i pocieszać, aby zachować spokój winny uroczystemu sądowi. Ksiądz legat spojrział w tę stronę i łza współczucia potoczyła się po jego twarzy.

— Czy uznajecie wszyscy mężczyźni po za kołem, że Włocz winien zbrodni, o którą tu został pozwany i czy tę właśnie karę wyznacza prawo? — spytał się na głos ksiązę.

Uroczysta zapanowała cisza. — Tak! — ozwali się po chwilce wszyscy.

— A więc na mocy prawa wszystkim światomego, — ciągnął dalej ksiązę, — wydaję wyrok.

— Miłościwy ksiązę! — wtrącił w tej chwili ksiądz legat, stawając przed Samborem, — nie dokończcie wyroku, ale dodajcie do łaski, z którą mi zapowiedzieliście uwolnienie, jeszcze tę, że darujecie winę temu nieszczęśliwemu. Jestem sługą tego, który na krzyżu przebaczył zbrodniarzowi, i pomsty za długoletnią nędzę nie chciałbym dochodzić na ludziach. Przebaczam jemu wszystko, a za grzech niechaj się sam Bóg łaskawy zemści. Łaski, miłościwy panie! —

— Ach łaski, łaski! — zawtórowali wszyscy, mężczyźni, białki, dzieci, i płacz, ten płacz rzewny Kaszubów, któremuby serce kamienne sprzeciwić się nie zdołało, rozległ się koło księcia. Zbrojni nawet, porwani chwilą rozczerzenia, przyłączyli się do ogólnej prośby.

A Włocz? On już leżał u stóp swego niewolnika, poruszony łaską Boską, która szuka grzesznika, póki dusza w nim kołace. — Bóg wam zapłać, Biskupie, za te słowa, — powiedział łkając jak dziecko. — Nawróciliście mnie. Taka dobroć i łaskawość wasza pozwala mi się spodziewać prze-

baczenia u Boga. Tak, teraz żałuję i chciałbym się poprawić. Niech się już spełni wyrok prawa, duszę przynajmniej ocalę pokutą! — I tarzając się w piasku, płakał jak dziecko, żałując za grzechy.

Książę, poruszony do żywego błagalną prośbą wszystkich i żalem Włocza, zastanowił się i po chwili tak dokończył swojego wyroku: — Skłaniając się do prośby dostojnego legata, zrzekam się na ten raz władzy, którą mam z łaski Bożej, a sąd i wyrok zdaję na Boga najwyższego. Idź Włocz, jesteś wolny. —

— Dziękujemy, Bóg zapłać, niech żyje nasz książę miłościwy! — rozległo się w tej chwili naokoło, jak każdemu serce przepełnione do ust niosło. Wszyscy się zbliżali, by ucałować ręce i szaty Sambora, który w rozrzewnieniu się oddalał z miejsca sądu. Najszczęśliwszą z wszystkich była Tomisława, której usilne pragnienie spełniło się niespodzianie, boć mąż jej upamiętał się i przyrzekł pokutę. Jeden Siszła tylko na wpeł był kontent. Opierając się na mieczu, stał po za kołem podczas sądu i pilnie się przysłuchiwał opowiadaniu Goswina, marszcząc się poraz i chrząkając na znak złości; gdy Włocz leżał u nóg legata, rozczulił się trochę, aby usłyszawszy wyrok, tak się odczwał do towarzyszków: — książę i Biskupi mądrzy, i znają się na ludziach, a kiedy ten biedak doprawdy żałuje, to i dobrze się tak skończyło. Stało się to jednak za prędko. Gdyby to było poszło na mój głupi rozum, książę byłby powinien jeszcze udawać niezmiękczonego i skazać go na śmierć, a nasz Biskup byłby wystąpił i tak powiedział do niego: miłościwy Panie, tu jest mój Siszła, rębacz nie lichy, co on przetnie, tego już żaden krawiec nie zeszyje, zdajcie

wymierzenie kary na niego. A ja byłbym się ładnie uklonił księciu i odebrał zlecenie ukarania tego złoczyńcy. I byłbym mu zawiązał oczy i kazał uklęknąć i niby próbował mieczem, gdzie uderzyć, żeby mu napędzić strachu, aż dopiero księżę byłby zawołał: — wstrzymaj się! — To byłoby temu Włóczowi strachu przysporzyło, i pewnie na całe życie zapamiętałby, że z prawem i sumieniem nie opłaci się igrać. Aleć niech i tak będzie. — Tak gderał poczciwiec i zwrócił się w stronę, gdzie księżę z obu dostojnikami rozmawiał.

— Teraz po ukończonym sądzie, — mówił Sambor, — trzeba się wam, czcigodny legacie, namyslić, w jaką stronę się udać macie. Mój zamek w Gdańsku gościnnie was przyjmie, skoro postanowicie morzem powrócić do Włoch, jeżeli zaś lądem, ksiądz Biskup Kamiński dziś zaraz chce was zabrać ze sobą i później odesłać do Bremy, skąd łatwo na Francją albo Niemcy dostaniecie się w strony rodzinne. —

Ksiądz legat stanął. — Gdy obaj panowie tak uprzejmi jesteście, otwarcie przed wami wyjawię, co wolę. Podróży morskiej obawiam się po tak wielkiem nieszczęściu; wolałbym lądem, i to jak najspieszniej, do swoich owieczek, które pewnie już innego tymczasem dostały pasterza. Więc jeżeli pozwalacie, księżu biskupie, przerwę wam te odowiedziny i udamy się do waszej stolicy. —

Biskup się skłonił wyrażając gotowość swą do powrotu. — Z całego serca przysłużę wam się, boście politowania godni. Czuję dobrze, jak pragniecie stanąć po tyłu utrapieniach w domu i pokłonić się Papieżowi. —

— Gdy więc zabieracie się z moim drogim

przyjacielem, — wtrącił książkę, — jedźcie z Bogiem i uwierzcie mi, że choć takie nieszczęście na ziemi pomorskiej was spotkało, serca mieszkańców nie są tak twarde, jakby się zdawać mogło. Większa część mych poddanych czci i poważa duchownych, a miłości bliźniego częste dają dowody. —

— Chętnie wierzę tym słowom, — odpowiedział legat, — bo i dziś tyle postrzegłem u mieszkańców tej wsi współczucia dla siebie i tyle gorącej wiary, że wysoko ich cenić mi trzeba.

Gdy tak rozmawiali, już na rozkaz dany poczet księdza Biskupa stanął gotowy do podróży. Dla legata osiodłał Siszła spokojnego konia, którego sam trzymał.

Już się miano żegnać. Legat wstąpił jeszcze do chaty, gdzie czekały go rzewne łzy Włocza i gorące przeprosiny Tomisławy i dzieci. Gdy przystąpił Dargosław, by ucałować rękę swego księdza, legat włożył obie ręce na głowę jego i głośno mu błogosławił, by zawsze mógł wypełniać wolę Bożą. — Może błogosławieństwo moje przyda ci się, bo Pan Bóg zwykł dochodzić winy ojców na synach, — przemówił słodko do dobrego chłopczyny.

I spojrział jeszcze raz po tych kątach i ścianach, które tyle modłów jego nasłyszały, w których płacząc nad swą niedolą, zawsze wielbił rządzenia Opatrzności. Rzewno mu się zrobiło i ukląkłszy w środku, gorąco się pomodlił. Gdy wyszedł, miał w rękę ową torbę, która słodziła chwile niewolnika.

Trzymając ją, przystąpił do księcia i wzruszony tak do niego przemówił: — Za przywróconą wolność chciałbym się miłociwemu Panu jakkolwiek odwdzięczyć. Prawda, że jako rozbitek nie mam żadnych kosztowności, których też wam nie mógł-

bym ofiarować. Ale mam przedmiot, który dostojnemu księciu będzie daleko milszym, bo przekonałem się o pobożności waszej. Gdym owej pamiętnej nocy widział, że okręt nasz już się rozbijał, wyjąłem z pudła głowę św. Barbary, którą darować chciałem królowi duńskiemu. Pomyślałem sobie, że ta święta patronka od szczęśliwej śmierci może wybłaga mi u Boga, bym nie zeszedł ze świata bez spowiedzi i komunii świętej. Dla tego przypasałem sobie relikwią mocno do boku, polecając się przyczynie świętej dziewicy. Z nią pochłonęło mnie morze, gdy statek rozgruchotał się pod dzikiem parciem bałwanów. I doprawdy Bóg łaskawy skłonił się do prośb św. patronki, boć ja sam, jak się dziś dowiedziałem, z całej załogi ocalałem i wnet znowu będę mógł odprawić mszę św. Przyjmijcie, miłośnicy panie, tę relikwią odemnie, niech się wami opiekuje i tymi, którzy na tej ziemi do św. Barbary uciekać się będą. —

Tak mówiąc, podawał torbę ze świętym skarbem Samborowi, który z uczczeniem i radością przyklękawszy, odpowiedział: — Bóg wam zapłać za taki dar! Zaiste nic lepszego ofiarować mi nie mogliście! Gdzie święte szczątki w kraju czci doznawają, tam osobliwsze błogosławieństwo niebios spoczywa na mieszkańcach! Ale jakże przewieziemy tę świętość do Gdańska bez osoby duchownej! Chyba samą umieścim na wozie, a w Oliwie poproszę ojca opata, by w procesyi odniósł ją do naszego miasta! Jakaż to radość będzie mej biąłogłowy, gdy z takim gościńcem wrócę!

Wnet z jednego woza wszystko sprzątnięto i sam legat położył na pięknym kobiercu torbę z świętą głową.

Jeszcze uścisnęli nasi biskupi rękę księcia, który szczerze ich żegnał, i oba orszaki ruszyły, każdy w swą stronę. Pomorzanie księcia jechali w milczeniu, by uczcić świętość, którą prowadzili do stolicy. Legat opuszczał dziesięcioletnią siedzibę z małym tłumoczkim, w który zawinęła Tomisława na prośbę jego nędzny ubiór niewolnika.

Mieszkańcy Rumi stali jeszcze chwilę w milczeniu, patrząc za odjeżdżającymi. Nakoniec jeden tak się odezwał: — wielka świętość tu była między nami przez dziesięć lat bez naszej wiedzy. Trzebaby Pana Boga za to przeprosić. Wiecie już, że skoro mnichy z Oliwy dokończą kościółek w Oksywiu, tam będziem chodzili na nabożeństwo. Tak mi się umyśliło, poprosim księży o założenie bractwa św. Barbary na wieczną pamiątkę, że ta święta głowa u nas się ukrywała, i będziem czcili Pana Boga w świętej dziewicy. Czy zgoda? —

— Zgoda, — odrzekli wszyscy i rozeszli się do swych zagrod.

6. Wprowadzenie relikwii do Gdańska.

W milczeniu posuwał się orszak Sambora ku Gdańsku, zwalniając kroku dzielnym rumakom, by uczcić świętą relikwią. Dla tego już szary zmrok poczynął się na dobre wspinać z parowów i dolin po drzewach i pagórkach, aż złocone ich kończyny, połyskujące w ostatnich promieniach kryjącego się już słońca, okrył ciemną powłoką, na której widok wesołe śpiewaki leśne pochowały główki pod skrzydełka, jak dziecko się nakryje, nim zaśnie w ciemnej izbie.

Tak stanęli w Oliwie.

Sam książę pojechał z dwoma zbrojnymi do klasztoru, rozkazawszy wojewodzie poczekać z relikwią nad drogą; jeden z prędszych jeźdźców poczwałował do Gdańska z rozkazami pana i doniesieniem dla księżnej.

Zakonnicy już się rozchodzili do spoczynku po dziennej pracy, sam tylko ojciec oddźwierny przesiadywał jeszcze w małej celi u bramy klasztornej, mając przed sobą na stole bochenek chleba, trochę ryby suszonej i dzban piwa dla znużonych i głodnych przechodniów. Tak kazała reguła Cystersów. Gdy odgłos czwałujących rumaków zbliżał się ku klasztorowi, ojciec oddźwierny modlący się cicho nadstawił ucha i w niepewności sięgnął po dzbanek, widocznie wątpiąc, czy jeźdźce nierychli tego pokrzepienia pragnąć będą.

— Ojczy pobożny, otwórz bramę i wpuść mnie prędko! — zawołał książę i stuknął do okienka.

Niebawem ogolona głowa, na której wierzchołku trochę ostało się włosów, wysunęła się z okienka i badawczym rzucając wzrokiem na jeźdźca, poważnym odrzekła głosem: — Pokój tobie. Kto jesteś i czemu pragniesz wejść do klasztoru? — W tej jednak chwili, natężając wzroku, poznał zakonnik gościa i pokornie zawołał: — książę nasz łaskawy!

— Otwórz, — rzekł Sambor powtórnie, — choć tego może reguła zabrania. Mam ważną sprawę do opata, którego zaraz poproszę do mnie. —

Posłuszny zakonnik, postrzegłszy po głosie książęcym, że coś niezwykłego się stało, pociągnął za łańcuch spadający przed nim po ścianie, i brama się rozwarła. Ukłoniwszy się następnie wjeżdżając

temu księciu i wskazawszy izbę dla gości, odszedł milcząc, by odszukać opata.

Sambor oddał rumaka jednemu z towarzyszków, i wszedł do wysokiej komnaty blisko bramy. Niebawem odchyliły się drzwi, a sam opat powitał księcia, ciekawy żądania jego o tak późnej godzinie.

— Proszę o pomoc i radę, — zawołał książę po prędkim powitaniu. — Osobliwsze zdarzenie, bo trzymanie legata papieżkiego w długiej niewoli, zaprowadziło mnie dziś do Rumi, wioski pod Oksywem, i oddało mi wielką świętość, głowę św. Barbary. Prowadzę ją na wozie do Gdańska, tu jednak przystanąłem, bo wypadaloby sprowadzić ją na ręku kapłańskich do miasta mojego. —

— A, to pomyślna nowina, — zawołał opat. — Błogosławieństwo niebios spoczywa na krajach, gdzie święte szczątki przebywają i czci mieszkańców doznawają. Nie wypada inaczej, jak zgromadzić wszystkich braci i przeprowadzić świętą głowę w processyi aż do Gdańska. —

Książę skłonił się na znak zadowolenia i szczerze uścisnął prawicę pokornego mnicha.

Po chwilce wysunął się z bramy klasztornej orszak składający się z dwudziestu blisko zakonników, przybranych w szare i czarne habity. Na ich czele jechał książę, obok niego szedł opat, który się po drodze dowiedział szczegółów o zdarzeniach tego dnia. Gdy doszli do czekających wedle drogi, na skinienie opata skrzesał jeden z braci ognia i wnet wśród spokojnej nocy letniej rozszedł się blask jarzących świec woskowych. Zakonnicy ze świecami stanęli przed wozem, z którego opat zdjął świętą relikwią i pobłogosławiwszy ją przyklekujących, ruszył ku miastu. Za nim szedł książę

i wojewoda, obaj ze świecami. Łucznicy zbrojni jechali stępą na tyle, ten i ów trzymając smolne pochodnie.

A w koło rozlana była cisza głęboka, uroczą i smętną, której nie mamy w naszych okolicach, chyba gdy w połowie lata cała przyroda jakby po długiej pracy za dnia się ukołysze przy ledwie poruszającym się wonnym powietrzu i blade gwiazdy przymrużonem okiem spojrzą na pagórki, lasy i parowy nasze. Światło bijące z świec i pochodni rozchodziło się po błoniu, a gdy zakonnicy poważnym głosem zanucili łacińskie psalmy, wszystkich porwało uczucie błogiej pobożności i nieopisanej rzewnności. Starzy łucznicy, których życie nieraz wystawione było na ciosy i strzały Prusaków, których serce już stwardło pod jelenią kurta, sięgali szorstką ręką do oczu i ukradkiem ścierali ciche łzy, wywołane z tajników serca rzewnym widokiem i śpiewem. Nawet nieme zwierzęta jakby uczuły świętość chwili, bo lekko stapały nastawiając uszu, a ledwie tu i owdzie parsknął rumak.

Gdy tak idąc zbliżała się processya ku miastu, naraz odezwały się dzwony kościelne i z pobliskich ulic ruszył jej naprzeciw liczny orszak mieszczan, a na czele duchowieństwo gdańskie. Uczciwszy relikwią, o której przybyciu byli się dowiedzieli przez zbrojnego posła, przyłączyli się do procesyi, która przy śpiewie coraz głośniejszym prosto szła przez nowe miasto aż w pobliże zamku książęcego, do kościoła św. Mikołaja, który dziś jeszcze na tem samem miejscu stoi, co przed siedmiuset laty. Tłumy ludu zalegały wszystkie ulice, witając świętą głowę.

Wstąpiwszy do kościoła rześisto oświeconego,

złożył opat relikwią wyjętą z torby na ołtarzu i klęknął na stopniach. W pobliżu klęczał w strojnej ławie księżę pośród małżonki i syna, którzy tu powitali kosztowny dar wybawionego z niewoli biskupa.

Jeszcze trwały śpiewy stósowne do przepisu kościelnego o przeniesieniu zwłok świętych, gdy sam opat wstąpił na kazalnicę. Ostatnie dźwięki śpiewów zamilkły w wysokich sklepieniach świątyni, a lud stojący we drzwiach począł się tłoczyć do przepełnionego już kościoła, by usłyszeć naukę, gdy naraz wszczął się u drzwi popłoch i krzyk przeraźliwy.

— Wpuście mnie, ustąpcie biednej kobiecie! — wołała jakaś niewiasta rozpaczliwym głosem. — Bóg się zlituje nademną za wstawieniem się tej świętej, której szczątki dziś zawitały do Gdańska! Ach ja nieszczęśliwa matka! —

Gęste tłumy rozstały się z przerażeniem, bo na straszne patrzyły widowisko. Niewiasta płacząca, żeby się kamień zlitował, z twarzą nabrzęktą od łez, w bezładnym choć zamożnym ubiorze, cisnęła się z jakimś ciężarem prosto przed ołtarz. Na rękę trzymała nieżywą dziecinę może ośmioletnią, uwiniętą w prześcieradło. Nie zważając na księcia ani na opata patrzącego z współczuciem na rozpaczającą, dotarła aż za kraty i złożyła swój ciężar przed ołtarzem. Wszystek lud cisnął się za nią, by się dowiedzieć, co zamierza.

— Boże litościwy, — zawołała jękająca od boleści matka, klęcząca nad ciałem, — zlituj się nademną! Trzy dzieci pochowałam już, biedna matka, pochowałam też męża! Przed chwilą czwarte mi skonało dziecko, a ja sama na świecie zostaję

bez rodziny i przyjaciół! Ach Boże, wróć mi dziecko! — I łzy obfite przerwały jej dalsze słowa. Złamana padła krzyżem u stóp ołtarza, drgając z nadmiaru boleści. Wszystek lud głęboko został porwany nieszczęściem biednej kobiety; nie było suchego oka.

Znowu porwała się osierocona matka. — Ty święta, zawołała, którą Bóg przyjął do mieszkań niebieskich, a któraś za życia pewnie też doznała boleści niejednej, wstaw się za mną! Otóż ja pewnie pierwsza, która błaga do Ciebie tu w tem mieście. Proś Stwórcę, by się ukazał cudownym w Świętych swoich! Ojczye niebieski, nie dla ziemskiej rozkoszy proszę, biedna sierota, o życie dziecka. Oddam córkę na Twoją usługę, bylebym jedno miała na tej ziemi serce, któreby mnie kochało, o mnie pamiętało! Zlituj się o Boże! — I jęcząc poczęła się modlić, a wszystek lud i kapłani za nią, porwani szczerą ufnością matki.

W tem — o cudo — ciało złożone przed ołtarzem poczyna drgać, dziecko zmarłe rusza członkami, otwiera powoli oczy, i słabym głosem mówi do niewiasty: — matko, Bóg wraca ci córkę! —

Któż opisze wzruszenie i zdziwienie zgromadzonego licznie ludu! Wszyscy upadli na kolana i w rozczuleniu chwalił Boga Wszchemogącego. Uszczęśliwiona zaś matka porwała wrócony jej drogi skarb i na głos wielbiąc Boga, wróciła do domu.

Gdy się ucieszył lud po cudownem zdarzeniu, podniósł się ojciec opat na kazalnicy i tak przemówił do zebranych:

— Chciałem do was, chrześciance, przy sposobności sprowadzenia głowy św. Barbary mówić

o skuteczności wzywania Świętych, aleć sam Bóg łaskawy okazał to nam dobitniej, niżby wszystkie słowa Aniołów zdołały. Dostąpiliśmy łaski, że przed naszymi oczami spełnił się cud oczywisty. To nas powinno utwierdzić we wierze, która uczy, że zbawienną jest rzeczą udawać się do miłosierdzi Boskiego za pomocą Świętych. Św. Barbara, której męczeńską głowę mamy przed sobą na ołtarzu, zasłużyła sobie u Boga tę łaskę, że może nam wyprosić szczęśliwą śmierć. A dostąpiła tej łaski przez męczeństwo stale poniesione, choć była wątłą tylko dziewczicą i wzrosła w największych wygodach. Dla Chrystusa nie zlekła się ani namów, ani groźb ojca, bogatego obywatela w Nikcdemi, w Azji, ani też biczów i ognia żywego, którym palono jej ciało. Nakoniec okrutny ojciec, który własne dziecko stawiał przed sąd pogański, nie wzdrygnął się w zaślepieniu ściąć głowę córki na śmierć skazanej za stałość we wierze. Doznaliśmy szczęścia, że taż głowa święta spoczywa między nami. Połączmy się wszyscy z miłościwym księciem naszym, który mi powiedział, że obiera św. Barbarę dla siebie i całego domu swego za szczególną patronkę, by dostąpić łaski szczęśliwej śmierci. Na ten cel odprawi się tu uroczyste nabożeństwo przez dziewięć dni po sobie następujących, a przez ten czas święta relikwia wystawiona będzie na uczczenie wiernych.

Tak mówił czcigodny opat, a we wszystkich oczach malowało się zadowolenie z słów jego. Modły gorące poczęły się wznosić do Boga na uproszenie łaski największej, szczęśliwej śmierci.

Jeszcze śpiewali księża i zakonnicy, tedy się skończyło pierwsze nabożeństwo. Powoli opuszczał tłum świątynię, by się na drugi dzień stawić na

nabożeństwo. Wyszedł też ksiązę z orszakiem, a za nim duchowieństwo.

Gdy kościelny, podzwaniając kluczami na znak, że zamyka kościół, do ostatniego filaru doszedł, wysunął się z cienia ostatni pobożny, dorastający już chłopiec. Zamykając drzwi, spojrział nań kościelny. Chłopczyna we wiejskiem ubraniu, bosy, miał twarz miłą, otwartą, a włos jego, na czole przystrzyżony, spadał obficie na plecy. Zaciekawiony spytał go się kościelny:

— Zkąd przybyłeś młodzianie? —

— Jestem z Rumi, odpowiedział patrzący z podziwieniem na murowane kamienice chłopczyna. Przybyłem za orszakiem książęcym trzymając się opodal od zbrojnych, bo nie śmiałem się do nich zbliżyć, ale musiałem przecież odprowadzić świętość do Gdańska, boć u nas, w naszym domie, przez dziesięć lat przebywała. —

— A gdzie zamierzasz się udać na nocleg? Masz krewnych lub znajomych w Gdańsku? —

— Niemam. Prześpię się choć tu, przy wejściu do kościoła; nieraz przy bydle już spałem nocą na polu, to nie lękam się takiego noclegu. Jutro wrócę do domu, bo tylko matce powiedziałem o swoim zamiarze, a w polu robota.

Pocciwy kościelny spojrział na chłopca. — Pójdź ze mną, prześpisz się pod moją strzechą, a jutro da ci żona posiłek na drogę, bo to pono dość daleko do Rumi. —

Uradowany Dargosław przystał na ofiarę szczerą, a na drugi dzień, pokrzepiony w domu kościelnego, pokłonił się jeszcze św. Barbarze i wrócił do domu.

7. W Sartawicach.

Już sześćdziesiąt lat minęło od sprowadzenia świętej relikwii do Gdańska.

Przenieśmy się na południe naszego Pomorza, trochę poniżej ujścia Czarnejwody, którą nasi ojcowie Wdą nazywali, do Wisły. Śliczna to okolica! Górka wyrasta za górką, a jedna, potężniejsza, szerokimi bokami trzyma się drogiej ziemi, druga, jak ciekawa cziecina, małą główką wyziera z poza plec drobny czubkiem, jakby się ciekawiła, co też tam się dzieje za górką i doliną. Inna, o szerokich barkach wystawając z pomiędzy braci, nastrzępiła swą głowę gęstą czupryną z ciemno zielonej sosny. A w koło pola złocą się pszenicą i żytem, i ludźmi Boży pracuje wesoło na chleb codzienny. Dopiero płynąc czołnem lub berlinką ze Świecia pod Grudziądz! Tam widać, jak hojnie przystroił nam Stwórca naszą ziemię! Wisła, która pod Gdańskiem leniwieje, jakby się ociągała porzucić polską krainę, płynie pod i za Świeciem wartkim jeszcze prądem, a strzępiąc brzegi żółtawą pianą, raźnie szeleści po kamyczkach i żwirze. A tuż obok po prawej, od Chełmińskiej ziemi ciągną się szerokie niziny, barwne przepyszne kwieciami jarzyn ciągnących się długimi, wąskimi smugami jak wstążki. Po drugiej zaś stronie, gdzie pomorskie góry spieszą się przejrzeć w słowiańskiej rzece, brzegi wysokie, choć zakrywają dalszą okolicę przed wzrokiem żeglarza, tyle mu pokazują wdzięków uroczej natury, że o reszcie łatwo zapomni. Raz nagie gliniaste stoki, poorane deszczem i ulewną falą, sterczą nad nami, to znów urwiska głębokie i parowy otwierają się, porośnięte dębem, grabem i klonem, pod którymi głów

i krzyżowe drzewo i leszczyna puszcza ją śmigłe latorośle. A u dołu parowu ciągnie się szara wstążka coraz wyżej, wyżej, aż w zakręcie ginie przed okiem; to ścieżka, prowadząca do chatki, którą poznajesz po dymie wzbijającym się nad drzewami.

W takim widoku pogrążony, gdy nagle usłyszysz dzwon na Anioł pański, wznosisz głowę i spoglądasz przed się, a tam na stromem wzgórzu, wysoko się podnaszającym nad samą Wisłą, ujrzysz kapliczkę małą z dzwonnica. To Sartawice i kaplica św. Barbary, naszej patronki, stojąca na miejscu dawnego zamku naszych książąt. Do niego się przenieśmy.

Na stromym okopie, odcięty od reszty wyżyn głębokimi parowami z południa i północy, a ze zachodu oddzielony od pola podwójnym rowem, stał zamek szczupły i ciasny, jak po owe czasy zwyczajnie, ale warowny murem i okopem. Główne części zamku składały się z wysokiego gmachu o dwu piętrach, dźwigniętego z ciężkich i trwałych murów. Tu i owdzie w obu piętrach wyglądały małe okienka, zwężające się na zewnątrz; widocznie przeznaczone były na strzelanie do nieprzyjaciela, gdyby się pokusił podejść pod mury. W dolnem piętrze były okna wyższe, gęsto zakratowane. Wewnątrz kryły głębokie mocno murowane sklepy broń i skarby księcia Świętopelka, który po śmierci stryja, Sambora I., i ojca swego, Mestwina I., dzierżył najznacniejszą częśćią Pomorza, a młodszych braci, Sambora na Libiszewie i Warcisława na Belgardzie nad Lebą, starał się utrzymać w posłuszeństwie i zgodzie na korzyść spólnego kraju.

Było to po południu, 1. grudnia roku 1242.

Rzeźwy staruszek silnego wzrostu i mocno się jeszcze trzymający wbrew późnemu wiekowi, który mu włos już zbielił, zdawał się wcale nie zważać na czaty regularnie stąpające na wale, ani na sługi krzątające się po dziedzińcu, ani też na gwar licznych zbrojnych, zalegających przy ogniach pole w pobliżu zamku. Nasz starzec biegał to do kuchni, umieszczonej w skrzydle zamkowym, to po szerokich kamiennych schodach z jednego piętra na drugie, i wszędzie naglił do pośpiechu, łajał, poprawiał i podzwaniał ciężkim pękiem kluczków, wiszącym na pasie przy boku.

Nakoniec się wysapał i wolnym krokiem idąc do komnat na drugim piętrze, otwierał drzwi i przyglądał się z ukontentowaniem skończonemu dziełu. Wszystkie izby były świeżo przybrano w najpyszniejsze stroje, a wszędzie ład i porządek.

— Teraz mogą przybyć, a zapewne rychło będą — rzekł do siebie, — bo mi pan wojewoda powiedział, że przed zachodem słońca staną, a to już pewnie piętnasta godzina. Trzeba zejść na zwiady. —

Ciężkim krokiem spuścił się na dziedziniec i zbliżył się do straży chodzącej z północnej strony zamku.

— Spójrz tam przyjacielu, — odezwał się do wojownika, — czy nie dojrzysz jadących, bo mój wzrok już stępniał; ledwie dojrzę do świeckiego zamku. —

Zagadniony wyteńczył wzrok w stronę Nowego i chwilę popatrzawszy, odpowiedział: — jadą panie kluczniku; widać ich już z tej strony Świętego, to będą za kilka chwil. A na przedzie lśni się w słońcu

stalowa zbroja kilku panów; pewnie tam księżę między nimi! —

Dobrze mój chłopaku; za wesołą nowinę dostaniesz dzban piwa. — Młody strażnik aż podskoczył i z radości wrzasnął donośnym głosem na dziedziniec: Księżę jedzie! —

Ne te słowa wszczął się zgiełk i wrzawa. — Zamkowcy drapali się na okop, a zebrani na polu wchodzili na bliski pagórek, by ujrzeć zbliżający się orszak. Stary klucznik zaś wrócił do zamku, bo zdawało mu się, jakoby wszystkiego jeszcze niedostawało, choć cały dzień spędził na przygotowaniach.

Już się zmierzchać poczynało, gdy zatętniała ziemia, dał się słyszeć chrzęst zbrojnych jeźdźców, głośny krzyk — mech żyje księżę! — rozległ się po błoni, i trąbka odezwała się, żądając wstępu do Sartawic dla księcia i stu jeźdźców. Nasław, wojewoda świecki, już stał ze załogą u bramy, by powitać Świętopelka wjeżdżającego po moście zwodzonym.

— Pochwalony Jezus Chrystus, panie wojewodo! — zawołał księżę, zsiadając z rumaka tego robiącego bokami. — Dotrzymałem słowa, choć doprawdy łatwo niebyło. Wyjechaliśmy jeszcze przed wschodem z gniewskiego zamku a to spory kawał drogi. Ledwie stało nam czasu na krótki popas w Nowem, to też konie i jeźdźcy zgłodzeni! —

— Na wieki, — odrzekł wojewoda, kłaniając się panu swemu. — Bogu dzięki, że miłościwy księżę przybył tak wcześnie, będzie mógł odpocząć na jutrzejszą wyprawę, a o posiłku pewnie pomyślał stary Dargosław, który przez cały dzień służbie nie dał spokoju, żeby wszystko wystawić na czas.

— A, mój Dargosław, — zawołał wesoło książę, — gdzie ten stary towarzysz broni, obecnie klucznik zamkowy? —

Nasz znajomy już się wysunął na przodek, i obejmując pokornie kolana pańskie, — jestem, — zawołał ze łzą w oku, — i witam miłościwego księcia! —

— Jakże Cię Bóg chowa stary wiarusie? Chciałbyś jeszcze z nami ruszyć na obławę, jak to bywało, gdy pierwsze wodził wyprawy na Słupsk przeciw Duńczykom i później na pruską ziemię nad Dzierzgoń? —

— Bywało, bywało, — rzekł Dargosław, wesoły, że mu książę przypomina dawne czasy, — ale teraz już chyba tylko w ostatniej potrzebie dźwignąłbym bardysz, bo ręce słabe, a oczy już mylą. Najlepiej mi tu na zamku chodzić aż do śmierci w pobliżu mojej Świętej, którą codziennie o szczęśliwą śmierć proszę. —

— No kochany kluczniku, to więc pokaż się w urzędzie i prowadź na komnaty, a wieczorem zwiedzimy też świętą Barbarę. —

Dargosław ruszył naprzód i precyzyjnym krokiem przebiegł schody, po których książę ciężko stąpił. Na piętrze zajął się starzec wygodą pana, który spoczął w wysokim krześle, zapraszając wojewodę do towarzystwa. Reszta orszaku, w którym też był ksiądz kapelan, rozgościli się każdy na swoim miejscu. Gdy książę z zdrowym apetytem zaczął zajadać, a wojewoda opowiadał o zbierających się z różnych okolic na wyprawę Pomorzaniech, nasz klucznik stał przy drzwiach wpatrując się w Świętopelka, który mimo lat pięćdziesięciu wyglądał świeżo i krzepko. Szerokie barki,

ściśnięte przylegającą kurtą z łosiowej skóry, obszywaną ciemną obwódką kozuchową, a spiętą na grubych sznurach wełnianych, pozwalały domyśleć się u księcia olbrzymiej siły ciała i niesteranego zdrowia. Na wysokiem, pogodnem czole księcia widać było stanowczość i rozum głęboki, a spokojne oko niebieskie świadczyło o ludzkości; czasem tylko wśród opowiadań wojewody zabłysło ono jakimś ogniem żywym, a wtenczas Dargosław poznawał, że to jeszcze stary jego pan, który jak się uweźmie na co, nie popuści, aż dokona.

— Teraz każ zebrać, — przemówił książę po chwili, ocierając palce w skórkę od chleba, — i podaj nam kubek miodu na rozgrzanie, a o sobie też nie zapomnij, bo krew ci już skrzepła. —

— Opowiem ci kochany wojewodo, co zamyslałem, — rzekł znowu Świętopiek pijąc wolno z podanej czary. — Wiesz, jak podstępnie Krzyżacy umieli przyskać sobie wśród lata sprzymierzeńców przeciw mnie, którym się ujął za biednymi Prusakami, tracącymi wszystką chęć do wiary świętej, która się dla nich łączy z utratą majątku, wolności, a nawet często i życia. Czyż mogłem się oprzeć ich prośbie, gdy łońskiego roku, niemal rozpaczając, stanęli ukradkiem w Gdańsku i prosili o pomoc przeciw Rycerzom! Wysłałem ich tedy z swoimi posłami do Rzymu, żeby przed samym Ojcem świętym wypowiedzieli swe skargi i uzalenia. Niestety dziewięćdziesięcioletni papież właśnie konał wśród najsroźszych upałów, zamknięty przez cesarza w Rzymie. Biedni musieli odejść bez pomocy. A Rycerstwo mści się za moją pomoc ofiarowaną tonącym i szuka sprzymierzeńców, żeby mnie zniszczyć. Nawet obaj siostrzeńcy wielkopolscy dali się ułować

Kazimierz już podpisał ugodę z Rycerzami za Wyszogród,*) który mi odbili. Mój Bydgoszcz trzyma brat jego, więc granica południowa zupełnie w ręku sprzymierzeńców Krzyżaków. Ale dowiedziałem się, że Wyszogród ma nieliczną załogę. Dla tego kazałem tu stanąć swoim Pomorzanom, żeby z nimi się puścić na zdobycie zamku. Tałem zamiar przed wszystkimi, żeby nie doszedł Krzyżaków albo Kazimierza. Jutro o świcie ruszymy w drogę. —

— A mnie, czy wolno będzie towarzyszyć miłościwemu księciu, — zapytał się prędko Nasław, którego wzrok zadrgał jaśniejszem światłem. — Przecież Wyszogród we województwie świeckiem, i miałażby się wyprawa obyć bezemnie? —

— Prosiłbym nawet sam, ale czy świecie, naprzeciw któremu wystawili Krzyżacy obronny zamek na Wawrzyńcowej górze, nie wymaga waszej obecności? —

— Nie, miłościwy panie, bo tam dowodzi kasztelan Jarogniew, który w długich wojnach się wyćwiczył na roztropnego wodza. Tu zaś w Sartawicach możemy pozostawić doświadczonego sotnika Ramotę, najpewniejszego bojownika, jakiego znam.

— To pójdźcie z nami; będziemy potrzebowali waszej rady. —

Wojewoda się skłonił. — Pójdę powiedzieć swojej białogłowie, że jutro wyjeżdżam. Już ona tego zwyczajna w ostatnich dwu latach, więc nie będzie się zbyt kłopotać. —

— Będę wam towarzyszył, żeby się dowiedzieć o zdrowiu waszej pani, a następnie wyjdziemy na dziedziniec i do obozu, żeby się przekonać, czy wszystko gotowe. —

*) Wyszogród leżał w samem pobliżu Fordona.

Tam panował gwar i swobodna wesołość. Około sześciuset dobranych chłopów rozlegało się koło buchających ognisk, na których warzyła się w kociętkach i garnkach wieszera. Nie obyło się przytem bez przymówek, bo zebrani pochodzili z różnych okolic Pomorza, więc Borowiacy podchodzili do Kaszubów, wołając, że Kaszuba a wędzony piskórz, to rodzone dzieci, a Kaszubi odcinali się mówiąc, że Borowiak, gdy mąki nie ma, zaklepie wodę piaskiem i je zacierki. Inne gromadki rozłożyły się pod słomianemi ścianami, gwarząc przy zimnym posiłku.

Koło jednego ogniska siedziało i stało kilkunastu obozujących, ściskać się koło niemłodego już mężczyzny, który zdawał się być starszym nad nimi.

— Tak, tak, — zaczął, — książę pan już przyjechał, więc się pewnie rychło dowiemy, dokąd to idzie wyprawa, bo on prędki; nieraz się wróg ani spodzieje, a on mu już na karku. Jeno co teraz, to ciężkie na niego przyszły czasy. Z Ryce rzami trudna sprawa, bo jak ich stu padnie, drugie sto z dalekich stron nadejdzie, a nasz kraj łatwo czuje każdy ubytek, bo niewie ki. Łoni a zaprzeszłego lata wyrządźilim im tu prawda niemależ psoty, bo jak posyłali z Torunia i Chełmna do Kwidzyna żywność i ludzi statkami, spuszczałim się do Wisły i dalej zatrzymać im czołna! Choć się dostało i czasem ranę, było d. bytku, a tam Krzyżacy musieli się ładnie trzymać w zamku, bo posiłki nie przybywały, a Prusacy biedni czuli się wolniejszymi. Ale teraz kto wie jak padnie, bo nawet bracia naszego księcia podobno jakoś z Krzyżakami się zma wiają, a od Kujaw licho słyhać. Niechże nas św.

Barbara w sartawskim zamku ma w opiece, żeby nas nie zgnetli nieprzyjaciel. —

— Czemu też Gostku ta świętość właśnie tu się przechowuje? — zagadnął jeden z grona.

— Tak było, — odpowiedział mówca. — Nasz książę miał ją jeszcze u siebie w Gdańsku, ale że często przemieszkował w Sartawicach, bo świecki zamek dopiero od niedawna został powiększony, żał mu było, że w tej okolicy żadnej nie było znaczniejszej relikwii, do którejby lud miał szczególne nabożeństwo. A widział, jak odpusty św. Barbary ściągają do Gdańska tysiące ludu nawet z pod Śliwic i Tucholi. Nadto przekonał się, że wielu z okolicznych tu mieszkańców przebywa dniem i nocą na wodzie, łowiąc ryby albo spławiając zboże i towary. Chciał im tu więc dać świętość, ale taką, któraby też wodnym pomogła w niebezpiecznym zawodzie. I pomyślał sobie: W Gdańsku mam jeszcze kawałek Krzyża świętego; to wystarczy na tamte okolice, a swoim Borowiakom dam głowę św. Barbary; niech sobie przez uczczenie tej świętej dziewicy upraszają szczęśliwą godzinę śmierci. A że takiej świętości nie można byle gdzie zostawić, bo raz Prusak, raz Krzyżak wpadnie do kraju i zabierze, co znajdzie, i nie zawsze zdoła się odbić łupów, więc obrał sobie książę miłościwy zamek Sartawski na miejsce pobytu dla drogiej relikwii. Sprosił tedy księży, będzie temu ze dwadzieścia lat, i w uroczystej procesyi przenieśli świętą głowę do Sartawic i złożyli w kapliczce, urządzonej w sklepach po stronie wody. Byłem raz w niej. Powiadam wam, że żadna kosztowność naszego pana nie jest ukryta na tak bezpiecznem miejscu, ani pewnie komnaty niema po

zamykach książęcych jak pięknej, jak owa kapliczka. —

— Pewnie, — wtrącił któryś, — boć na własne oczy widziałem, jaki nasz Świętopełk pobożny. Byłem w Gdańsku na św. Dominik i poszedłem też do kościoła św. Mikołaja, a tam na mszy św. klęczał książę i ani nie spojrzął, tak się modlił gorąco. —

Nagły okrzyk radośny: — książę, książę idzie, niech żyje nasz pan! — przerwał dalszą rozmowę u ogniska, bo wszyscy się zerwali, chcąc z bliska widzieć Świętopełka, wychodzącego w towarzystwie wojewody ze zamku.

— Witam, witam, — zawołał książę, widocznie uradowany serdecznem przyjęciem. — Urządźcie się wygodnie, kochani mężowie, bo jutro jak dzień ruszmy pod Wyszogród. —

Święte słowa, — zawołał rezolutnie Gostek; kiedy już tam pójdziem, pewnie wypędzimy stąd sprzymierzeńców krzyżackich, i przynajmniej będę wiedział, że góra nasza, bo markotno mi było, jakem się na pozimku musiał przed Rycerzami cofać ze zamku. Wyszogród wróci do nas! —

— Daj to Boże, — rzekł książę, uśmiechając się do Gostka. — Teraz jednak sotnicy wystawcie czaty i opatrzcie wszystko na noc, żeby się obyło bez przypadku. —

Jeszcze tu i tam przystąpił książę, przekonał się o porządku, czasem rzucił któremu ze starszych Pomorzanie słowo uprzejme, i wrócił do zamku.

Na rozkaz sotników gasły powoli ognie, a bojownicy układli się do snu za pękami słomy, śpijąc na głos śliczną pieśń do św. Barbary, patronki w godzinę śmierci.

8. Osobliwszy kupiec.

Jeszcze noc zakrywała grubą oponą ciemności skrzepłą ziemię, a w około sartawskiego zamku tylko stąpanie strażników przerywało głęboką ciszę, gdy z wałów odezwał się przenikliwy głos rogu, budzący naszych Pomorzan na wyprawę pod Wyszogród. Za chwilę wzbił się tu i owdzie płomyk ognia, przy którym sobie trochę pokarmu gotowali. Wszyscy zaś opatrywali broń i układali do worków żywność, by jaknajprędzej stanąć w pogotowiu. I z okien zamkowych biło światło, a po dziedzińcu rozlegało się rżenie koni, przerywające głucho stąpanie zbrojnych jeźdźców.

Znowu róg zabrzmiał, i w okamgnieniu spuścił się most zwodzony, torując przystęp dla pobożnych mężów, bo w kapliczce zamkowej miała się odprawić msza święta. Kto był śmielszy, przetłoczył się przez ganki zajęte już przez jezdnych. Niejeden Pomorzanie, ciekawy zobaczyć kaplicę tyle chwaloną przez Gostka, silnie nadstawiał łokciów, aż do niej dotarł po schodach, prowadzących dość stromo w dół. A było też na co patrzeć. Sklep, nie wyższy nad piętnaście stóp a może raz tyle długi, lśnił się od nagromadzonych tam skarbów i kosztowności. Po ścianach wisały wielkie srebrne płyty, od których się światło z grubych woskowych świec w tysiącu promieniach odbijało. Bogate kobierce, sprowadzone z dalekich Włoch, a jak Dargosław czasem powiadał, robione aż za Ziemią Świętą, w krajach, gdzie pod skwarem słonecznym wszystkie twarze ciemno pożółkły, pokrywały twarde kamień pomorski, z którego pradziadowie księcia

stawiać kazali fundamenta. Gdzie się dwa kobierce schodziły, tam ścięgi gęstą złotą strzępą były przykryte, której końce jak kłosa złotej pszenicy się zwieszały. A na kobiercach samych w połowie wysokości udziały wprawne ręce pobożnych księżniczek i pań dworskich cienką złotą nicią i prządką jedwabnika śliczne obrazy, przedstawiające chwile z życia i cudu św. Barbary. Na jednym widać było świętą dziewicę osadzoną przez własnego ojca w więzieniu i na klęczkach modlącą się do Boga, na którego niebo patrzyła przez grube kraty. Na drugim obrazie przystępował anioł do okrutnie zbitę przez sług sędziowych i na rozkaz Boży dotykał się ran świętych, by je uleczyć. Na trzeciej kotarze, po lewej stronie ołtarza, okrutny ojciec ścinał głowę tak dobrej córki, a jej dusza w postaci gołębia unosiła się pod niebo. Na prawej stronie ołtarza był zaś przesłicznie wyszyty cud, który się stał w Gdańsku przy przeniesieniu św. głowy za Sambora I.

A sam ołtarz przewyższał wszystko strojem i bogactwem. Po obu końcach były sztucznie wyrzynane z dębowego drzewa nogi, którym snycerz nie żałował pozłoty. W środku zaś opierał się stół ołtarzowy na sporej skrzyni, bogato przystrojonej, na której wieku w wosku pieczęcie książęce były wyciśnięte. W tej skrzyni krył się największy skarb całej kaplicy, głowa św. Barbary, tak ustawiona, że służyła za relikwią ołtarza. W pośrodku stołu ofiarnego stał pomiędzy czterema świecznikami posąg św. Barbary, trzymającej monstrancyą. Wszędzie pozapalane światła dodawały kapliczce tyle piękności, że jeden z Pomorzan, wstępując do

niej, zdjęty uroczym widokiem, zawołał: — Mój Boże, toć już chyba jestem w niebie! —

Przed uzbrojonym księciem, klęczącym w pobliżu ołtarza, i przed wojewodą z żoną i resztą przytomnych zaczęła się msza św. na intencją szczęśliwej wyprawy. Stary Dargosław służył i kornie się modląc przydzwaniał srebrnym dzwonkiem. Stojący na dziedzińcu i za murami łączyli się w myśli z nabożeństwem i zapanował spokój nad okolicą.

Po nabożeństwie wyszedł książę i rozkazał, by wszyscy stanęli w pogotowiu do pochodu. Gdy zebrani Pomorzanie i zbrojni jeźdźcy ustawiać się poczęli, zawołał Świętopelk na Ramotę.

— Ile masz załogi w zamku? —

— Czterdziestu pięciu chłopca, licząc już piętnastu łuczników, miłościwy Panie. —

— Na zdobywanie Wyszogrodu trzeba mi kilku jeszcze łuczników i zbrojnych, więc wybierz mi po dziesięciu ze załogi. Zresztą strzeż mi zamku, którego cię ustanawiam teraz dowódcą, jak oka w głowie. Spodziewam się, że wypadku nie będzie żadnego, bo Krzyżacy strzedz się muszą przed obronem Świeciem, ale gdyby napaść jaka się zdarzyła, w dwudziestu pięciu zdołacie się oprzeć, bo trudno się dostać przez okopy i rowy. —

— Wolałbyu więcej zatrzymać, ale kiedy miłościwy Pan każe, wybiorę potrzebnych. Da Bóg, za tydzień wrócicie do swych Sartawic, boć już nieraz odprawili podjazdkę od wiernych murów zamku. —

Minęła chwilka, gdy poczet księcia o pierwszym brzasku ruszył w stronę Świecia, żegnany przez Ramotę i Dargosława. Pani wojewodzina zo-

stała w bezpiecznych murach, oddając siebie i męża pod opiekę św. Barbary. W zamku panowała cisza. Dargosław chodził od drzwi do drzwi, zaglądając do komnat, jak zwyczajnie człowiek niespokojny po odjeździe miłych gości. Chcąc się pozbyć niemiłego uczucia samotności, poprawił stroje po komnatach, ustawiał sprzęty bezładne, aż nakoniec zeszedł z piętra, otworzył ciężkie drzwi prowadzące do sklepów i klęknął przed ołtarzem swej świętej, żeby się pomodlić.

Tymczasem załoga siedziała gwarząc w sporym domie blisko wału zachodniego. Żołnierstwo czyściło i naprawiało broń, powiadając sobie o wycieczkach i zdobyczach z przeszłego lata. Ramota, siedząc na ławie przed sienią, otulał się dobrze w ciepłą kurtę i patrzył pilnie za Wisłę, gdzie jakieś tłumy się ciągnęły od Starogrodu i Wawrzyńca do Chełmna.

— Czyż, — pomyślał, — na Świecie gotują wyprawę? Trzebaby kasztelana ostrzedz. — I niebawem jeden ze zbrojnych wyprowadził konia ze stajni i pocwałował do Świecia z orędiem doświadczonego łucznika. Reszta żołnierzy jeszcze stała na okopach, wyteżając wzrok pod Chełmno, gdy nagle od drogi rozległ się głos: — Szko-o-ot! Szko-o-ot! —

— Kupiec jedzie! — zawołali żołnierze, oglądając się w tamtą stronę. Rzeczywiście wyjeżdżał pod górę wozik okryty płachtą, ciągnięty przez chudą szkapinę, a przy nim szedł męszczyzna słusznego wzrostu i krzepkiej postawy. Ubiór jego był ten sam, w którym chodzili zwykle szkoccy kramarze, często przybywający po owe czasy w nasze strony z towarami. Na barkach miał jakąś

chuść czy burkę dziwnie zarzuconą, a goleń okrywały nad niskimi butami przypięte obcisłe cholewy z szarej materyi.

Gdy trzeci raz zawołał swoje — Szko-o-ot, stanął w pobliżu kilku chatek i czekał, czy kto nie przyjdzie kupić towaru. Tymczasem, jakby na zachętę wyciągnął jedno i drugie zawiniątko, z którego rozkładał piękne chustki w żółte kratki, paciórki i wełniane materye. Z pobliskich kilku chałup wysuwały się niewiasty, żeby się przypatrzeć, a wnet poczęły kupować, bo handlarz jakoś był tani i tylko się dopytywał, czy też dla chłopów nie wezmą czego, bo ma ładne kraciaste pasy i sukna do kurt. Ale kobiety się wynawiały tem, że chłopów nie było w domu.

Gdy zamkowcy Szkotowi się przypatrywali, stanął jeden z nich przed Ramotą i niepewną polszczyzną tak doń przemówił: — Pozwólcie, Ramoto, bym wyszedł do kupca, bo przymrózki już się zaczynają, a tu człowiek licho ubrany; chciałbym sobie pas kupić wełniany i może do kurty. —

Ramota spojrział na mówiącego. Był to rodowicz z nad brandenburskiej granicy, człowiek bywały, który już nie jednemu panu służył, trochę już podeszły, silnie zbudowany, ale z twarzy widać było, że lubił często odświeżać wyschłe gardło. Z oczu jego, nigdy nie spoczywających dłużej na jednym przedmiocie, widać było trochę podstępności i złego usposobienia. Ramota przyjął go między łuczników przed kilku miesiącami, bo człowiek wprawny, a wojna z Krzyżakami wymagała liczących rąk do broni. Podobno przedtem służył gwardii u Niemców.

— Nie chodziłbyś tak lekko ubrany, gd

był oszczędzał, Pietrze, — mówił po krótkim namyśle Ramota; — przybyłeś do Sartawic niemal goły, a zasługi poszły gardłem. Ale kiedyś sobie u nas trochę oszczędził, to idź, a Tomek niech ci towarzyszy, bo to czas wojenny, więc trzeba być ostróżnym. —

Piotr się odwrócił i wyszedł z Tomkiem po moście spuszczoneym. Gdy kupiec postrzegł zbliżających się, zabłysło mu na moment oko.

— Wiele macie pieniędzy, panie żołnierzu? — zawołał do idącego przodem Piotra.

— Nie wiele, dwadzieścia pięć okrągłych groszy, ale to sięgnie na moje potrzeby; pokażcie no kupcze pasy. —

Szkot począł szukać, a Piotr, jakoś niecierpliwy, schylił się nad paką, niby szukając, i mruknął kilka słów po cichu, dodając głośniejszej uwagi, że ten ładny, ale za wązki, a ten za cienki. Nakoniec znalazł, co mu się podobało i targ poszedł gładko, nawet na sukno do kurty starczyło jeszcze grosiwa. Tomek tymczasem, nie obawiając się niczego, przypatrywał się ciekawie pstrym materyom. Wnet obaj wrócili do zamku.

— Cóż to, zawołał Ramota do wchodzącego z kupnem Piotra, — cóż to, z rana, gdym was przeznaczał do wyprawy, mówiliście, że wam trudno chodzić dla jakichś tam rwań w nodze, a teraz idziecie prosto jakby do tańca. —

— Bom tanio kupił, czego potrzebowałem, to i człowiek zapomni o dolegliwościach, — odpowiedział Piotr, ale się coś zaczerwienił i począł na dobre chromać. Wszyscy żołnierze na ten widok uderzyli w śmiech, że mu się tak prędko do-

legliwość przypomina. Sam tylko Ramota począł głową kręcić jakby nad zagadką i szepnął jednemu z najpewniejszych łuczników, by pilnie strzegł Piotra.

9. Jak Dargosław został klucznikiem.

Kilka godzin przeszło. Wszyscy oddawali się zwykłym zatrudnieniom i niemal zupełny spokój zapanował znowu nad Sartawicami. Już słońce powoli się zniżyło, gdy stary Dargosław, któremu jakoś nie od ręki nie szło, siadł przy Ramocie na gawędkę. Po kilku ogólnych słowach począł Ramota:

— Czemu też księżę wczoraj was tak ufale przywitał? Wszyscy się dziwili, że miłościwy pan przy samym wjeździe do zamku niemal do was samych mówił i to jak jeszcze! Przypominał wam dawne czasy i tak przemawiał iak do przyjaciela. Czemu też wspominaliście o św. Barbarze, mówiąc, że to wasza święta? Straże regularnie chodzą, a tam po drugiej stronie już się uspokoili, Świecie też przestrzeżono, żeby się miało na bacności; więc moglibyście opowiedzieć trochę ze swego życia, bo do prawdy zaciekawilem się.

Na te słowa Ramoty kilkunastu żołnierzy ciekawie przystanęło bliżej obu mężów, by też usłyszyć opowiadania.

— Kiedyć wam miło, — rzekł wesoło Dargosław, — opowiem życie moje, w osobliwszy sposób zrosłe z historią świętej patronki, którą tu czcimy. — I począł od owej strasznej nocy przed siedmdziesięciu laty, która była początkiem nieszczęśliwego losu księdza legata. Powiadał, jak legat pracować musiał, jak on sam go polubił, ale

ojciec idący za namowami złego ducha, nawet najmniejszej ulgi zabraniał, i ciągnął dalej o księciu, o sądzie na ojca i o sprowadzeniu św. relikwii do Gdańska.

— Gdym wrócił z Gdańska po owej uroczystości, powiadał dalej, — wziąłem się do pracy, ale myśli moje ciągle były w Gdańsku u świętej głowy. Czym orał, czym pasł konie i woły, zawsze pamiętałem o niej a coraz więcej pragnąłem być w jej pobliżu. I z ojcem moim zaszła wielka zmiana. Ledwie mogłem sobie przypomnąć, że był kiedyś wesoly i szczęśliwy, bo póki ów biskup w naszej chacie bawił, ojciec był zamknięty, małomówny i opryskliwy na wszystko, nawet na nasze dziecinne pieszczoty. Teraz wesolym też nie bywał, nawet często wzdychał i ukradkiem łzy ucierał, ale serdeczność go opanowała; często przysiadł w niedziele obok nas i mile na nas poglądał, gdyśmy o świętych rzeczach rozmawiali, albo nabożną pieśń zaśpiewali. Często też bywał u zakonników w Oliwie, a zawsze z pocięchą na twarzy wracał. Miałem już dwadzieścia i jeden lat, a memu bratu Bożkowi kończył się już dziewiętnasty rok, gdy ojciec, wróciwszy z nami z kościoła oksywskiego, który wtenczas już był wystawiony, usiadł pośród nas na ławie. Oczywiście miał coś na sercu. Czasem odchrząknął wachając się, czy wypowiedzieć swą myśl, ale po pierwszym słowie urywał. Matka się czegoś domyślała, więc spróbowała dodać mu otuchy.

— Widać ojciec, — mówiła, — że chcesz nam coś ważnego powiedzieć. Słuchamy cię chętnie, wyjaw, co na sercu twem spoczywa. —

— To i powiem, — odrzekł. — Widzisz żono i wy kochane dzieci, jak nam Pan Bóg błę-

gosiławi, choć tak strasznie zgrzeszyłem. Oj nie-
szczęsna ta godzina, — mówił zalewając się łzami,
— w której grzeszna chciwość i złość mną zapa-
nowała! A jaki Bóg łaskaw! Natchnął tego księdza,
nad którym przez długie lata się pastwiłem, by
u księcia wyprosił darowanie kary i czas poprawy!
Ale mnie się zdaje, że prawo sprawiedliwe po-
winno się wykonać ile możliwości. Wiecie, że właś-
ciwie nasze miejsce przypadło na kościół i owego
biskupa. Oto umyśliłem sobie odpokutować na stare
lata za grzechy w klasztorze oliwskim. Byłoby to
dla mnie największą karą, żyć bez was, których,
widzi Bóg, kochałem i znowu Kocham, odkąd złe
wyszło z duszy mojej. Na przebłaganie Boga jednak
chętnie chciałbym ponieść jeszcze większy ból serca.

Matka popłakując chciała coś wtrącić, ale
ojciec łagodnie jej przeszkodził. Pozwól matko,
— mówił, — bym dokończył swego. Dalej pra-
gnąłbym nasze miejsce oddać na chwałę Boską;
możebytu nawet w Runi mógł staować kościół,
a nasza rola służyć mogła na utrzymanie księdza.
I o was, moi drodzy, pomyślałem. Myślisz Dargo-
sławie, że twoje umowy z matką uszły mojej bacz-
ności? Słyszałem dobrze, jakieś powiedział onegdaj,
że ledwie wysiedzisz w domu, tak cię serce ciągnie
do św. Barbary w Gdańsku, i że chętniebyś przyjął
służbę u miłościwego księcia, byle jeuo często prze-
bywać w bliskości tej relikwii, którą ja w grze-
sznym obłędzie tak gardziłem! Więc ja tak myślę,
moi kochani: Dargosław pójdzie do Gdańska, Bożek
zaś kupi sobie za połowę uciulanego grosza, bo
drugą połowę trzebaby do kościoła dać na światło,
mały kawałek roli i będzie się dorabiał w pocie czoła,
nasza matka zaś będzie mu gospodarzyła w domu. —

— Ledwie ojciec tego domówił, już my obaj chłopcy klęczelim przed nim i całując go, dziękowaliśmy za rozporządzenie. Ja byłem szczęśliw, bo wszystkie moje pragnienia miały się spełnić. Matka zaś, ściskając ojca, tak powiedziała: Idź tedy ojcze i służ Bogu, jak cię łaska natchnęła. Ja z początku pomogę Bożkowi, a później przeprowadzę się do Oksywia, żeby co dzień chodzić na nabożeństwo i przy kościele usługiwać.

W środę po tej niedzieli poszlim wszyscy do spowiedzi i komunii św. na intencją uproszenia błogosławieństwa Boskiego dla zamiaru naszego, a po nabożeństwie wstąpiłim do księdza proboszcza, żeby mu wszystko powiedzieć. Już on znał przypadek legata, choć od niedawna był w Oksywiu, bo w całej okolicy głośno o nim gadano; znał też nas wszystkich. Skoro usłyszał, cośmy uradzili, rozplakał się księżulek z radości i tak powiedział: — Kto się zrzeka wszystkich wygod i majątku na przeproszenie Boga temu zapewne Ojciec Niebieski przebaczy i błogosławić będzie. Niech was łaska wspiera i utrzymuje nadal! —

Nie długo potem objął ksiądz w imieniu Biskupa zarząd nad rolą naszą, matka i Bożek osiedli w pobliskiej chałupie, a ojciec poszedł do Oliwy, gdzie go przyjęli na braciszka. W dzień obłoczyn byliśmy obaj bracia z matką w Oliwie, kilku gospodarzy z Rumi też stanęło. Nie pojmujecie szczęścia, które się malowało na obliczu mego ojca, gdy zakonnicy z kapituły go wyprowadzili w czarnym habicie do kościoła przed wielki ołtarz i przed nim leżącym na twarzy odprawiła się msza święta. Wracając do klasztoru, spojrział na nas, ale tak szczę-

śliwie i wesoło, że dziękując Bogu za łaski jego rozplakaliśmy się wszyscy.

Ja już byłem wtedy zaciężnikiem księcia Su-bisława. Zaraz po powrocie z Oksywia upadłem rodzicom do nóg i prosiłem o błogosławieństwo na drogę. Przybywszy do Gdańska uczułem się jakby w domu, boć tam na książęcym zamku spoczywała w kaplicy owa święta głowa, przy której przeżyłem dziesięć lat. Gdym stanął przed panem wojewodą, spojrział mi w oczy i poklepał po ramieniu. — Służ wiernie księciu miłościwemu, — mówił, — a będziesz miał chleb pewny i łaski na starość. — Bogu dzięki, stało się, jak przyrzekł wojewoda, bo przez pięćdziesiąt i dwa lata, które służyłem naszym panom, doznałem wielu względów i dobrotliwości. Krótko po zaczęciu służby wziąłem się do uczenia ministrantury, bo postrzegłem, że mógłbym dla niej często bywać w obecności świętej głowy. Doprawdy ksiądz kapelan wybrał mnie do służenia. Jakie szczęście modlić się w kaplicy o błogosławieństwo Boskie! Prosiłem też szczerze Ojca Niebieskiego o miłosierdzie i opiekę dla siebie i rodziny, osobliwie zaś o łaskę spełnienia wszystkiego, czego by Bóg odemnie wymagał, bo ciągle brzmiały mi w uszach ostatnie słowa księdza legata: — Może błogosławieństwo moje przyda ci się, bo Pan Bóg zwykł dochodzić winy ojców na dzieciach. —

Ale były też insze czasy, gdzie człowiek nie dzwonił do mszy świętej, ale szablą po tarczach i zbrojach nieprzyjacielskich dzwonił. Często wyjeżdżałem z Gdańska pokryjomu, człowiek nawet nie wiedział dokąd, a nasz młodziuchny Świętopęk, który zastępował chorowitego zawsze ojca Mestwina, prowadził lasami i tajnymi drogami na Duńczyka

w Słupsku siedzącego albo na Prusaków. Nieraz opuszczały nas siły, człowiek już mdlał od długiej jazdy i ledwie się na koniu trzymał, ale gdy młody książę tak miło spojrzał w oczy, że aż serce drgnęło, i przemówił do swych Pomorzian ognistemi słowami, krzyknęliśmy zaraz: — niech żyje nasz wódz — i dalej na wroga!

Już czternasty rok służyłem, a i przełożeni mnie kochali, — ciągał drżącym głosem Dargosław, — gdy jednego poranku przyjeżdża brat Bożek zapłakany do Gdańska z wieścią, że wczoraj zmarł ojciec nasz kochany w Oliwie, a dziś ma być chowany. Choć w przeciagu tylu lat chyba czasem tylko przejeżdżając mimo klasztoru na chwilkę niebożczyka widziałem, żeby ucałować ręce jego, wiadomość o śmierci bardzo mnie poruszyła; dziecko zawsze dzieckiem, a rodziców stawiamy nad wszystkich ludzi. Pokłoniłem się tedy wojewodzie o pozwolenie i ruszyłem we dwójkę do Oliwy. Ledwie stanęliśmy w kościele, wysunął się z klasztoru orszak, i wynieśli na marach ciało. Serce mi się krajało. Matczysko, które w żalu siedziało przy mnie, aż głośno zapłakało. Zakonnicy stanęli z ciałem nad otwartym sklepem, dwu zdjęło wieko prostej trumny i podczas gdy sam opat modląc się kropił święconą wodą, spojrzeliśmy jeszcze raz w ukochane oblicze. Tak, to był mój ojciec tak szczęśliwy i swobodny, jakim go sobie przypominałem z pierwszych lat dziecięcych. Ten sam wyraz spokoju i ufności w Boga leżał na twarzy jego, tylko że ona była wychudła i zniekształcona do szczytu. Niebawem spadło wieko i trumna zniknęła w ciemnym sklepie. Po spuszczeniu zwłok odprawiła się żałobna msza św. Z kościoła zaprosił nas opat do

klasztoru i powiadał rozrzewniony, jak bogobojnie żył nasz ojciec u nich, że wszystkie przykrości ostrej reguły pokornie i ochoczo znosił, że za najmniejsze uchybienie sam się oskarżał i prosił o ciężką pokutę. W ostatniej chorobie, która więcej była gąsnięciem sił niż chorobą, jedynie posłuszeństwem dawał się do użycia drobnych wygód regułą przyzwolonych nakłonić. Opat pocieszał nas nadzieją, że Bóg litościwy przyjął ofiarę naszego ojca i darował mu ciężką winę z lat dawniejszych.

Wróciliśmy każdy do swego domu. W rok po śmierci ojca odwiedziłem z bratem matkę, już chwilę mieszkającą w Oksywiu przy samym kościele. Uradowała się z naszego przybycia; powiadała mi, jak się czuje szczęśliwą, że wolno jej pełnić drobne usługi w domu Bożym. Gdyśmy się rozstawali, uściskała mnie jak zawsze. I ja, choć mężczyzna rozczuliłem się. Mój Boże, niemać to, jak serce matki dla swych dzieci! A to serce nie długo potem dla mnie bić przestało. Gdy następnym razem widział ukochaną matkę, już leżała na marach. Pochowaliśmy ją obaj synowie.

— Było mi smutno, — powiadał siwy już Dargosław po krótkim przystanku, ocierając łzę, — ale Bóg łaskawy jakoś pocieszył. Było rozrywki nie miało, bo nastawały nowe wojny z Prusakami i Krzyżakami. Tak człowiek zestarzał w ciągłej pracy, aż przed dwudziestu przeszło laty nasz książę raz przypatrując się nam zbrojnym, przystąpił do mnie. —

— Ileż lat służby już masz Dargosławie? —

— Trzydzieści i dwa szyby zrobiłem na rzeźmieniu, a na lato zawiązę trzydziesty i trzeci miłościwy Panie, — odpowiedziałem.

— A jakiś stary? —

— Na gody będzie piędziesiąt i pięć lat. —

— Życzysz sobie czego? —

— Z łaski miłościwego księcia, — odrzekłem — mam chleb i przyodziewek nie liche, a przez tyle lat uciulałem sobie grosz na stare lata, więc biedy nie mam, ale kiedyć łaska miłościwego Pana, życzyłbym sobie łatwiejszej służby, bo kości już sztywnieją, a czasem i w cięciu omylę, bo ręce poczynają się trząść pod ciężkim mieczem. Ale żeby to być mogło, chciałbym zostać w Gdańsku boć tu — —

— Już wiem, — wtrącił dobrotliwy książę, — tu głowa świętej Barbary. Dobrze, pomyślę o tem. —

Niedługo potem kazał mnie zawołać pan wojewoda. Gdym przyszedł, oświadczył w imię księcia, że od Bożego Narodzenia pójdę pomiędzy sługi książęce i będę doglądał porządku po książęcym zamku. Rozradowałem się i serdecznie podziękowałem.

Ale książę i nadal pamiętał o mnie. Gdy krótko potem głowę św. Barbary przenieść kazał do Sartawic, mianował mnie klucznikiem tego zamku i łaskawie nakazał, bym strzegł świętości jak oka w głowie. Bogu dzięki, wypełniam i pewnie wypełniać będę owe zlecenie, póki sił stanie.

Tak więc, kochani mężowie, kończył Dargosław, żyję tu szczęśliwie od lat dwudziestu. Brat już umarł, pozostawiwszy kilkoro dzieci na roli, której się pracą dorobił. Bóg im błogosławi, bo trzymają się stale wiary świętej. Na dawniejszej schedzie naszej już stawiają kościół i może nieza długo będzie w Rumi książdz. Tak więc wszystko

Pan Bóg łaskawie przyjął za winy ojca naszego, któremu niech udzieli wiecznego spoczynku. Ja jeszcze sam żyję i czekam, aż się spełnią słowa księdza legata, bo coś mi w sercu nieustannie powtarza, że ostatnie dni życia mego dopiero przeblagają Boga za wszystko. —

10. Sen i prawda.

Już był ciemny wieczór. Spokój panował w zamku sartauskim. Tylko niekiedy dolatywał głos śmiechu lub wołania z chałupki, gdzie zbrojni żołnierze czekali, ażby na nich godzina czatów na wałach przypadła. W dużej świetlicy zamkowej siedziały u dołu kobiety i dzieci z pobliskich domów, bo w czasie wojny zdarzały się często napady, w których rozjuszony i chciwy łupów żołnierz paścił się nieraz nad bezbronnymi.

Stary Dargosław już klęczał przed krzyżem wiszącym nad twardem łóżkiem, i odmawiał zwyczajne pacierze, do których dziś dodawał modlitwy o szczęśliwy koniec wyprawy miłościwego księcia. Wtem nagle otworzyły się drzwi, i wpadła służebnica pani wojewodziny.

— Pójdźcie Dargosławie do naszej pani, — rzekła, — bo nie możemy jej uspokoić. Przelekła się czegoś i pragnie was zobaczyć. —

Starzec jakby nie pojmował niespodzianego życzenia, stał trochę, nakoniec odpowiedział: — Będę zaraz u miłościwej pani. —

Ledwie rzucił na się już napół złożoną odzież, zaraz wyszedł zdążając do komnat wojewodziny.

— Czegoż pragnie pani wojewodzina, — rzekł, wchodząc do sporej komnaty. Ale więcej też nie

byłby zdołał wymówić, tak się zatrwożył na widok tej pani. Błada, przelęknięta, trzęsąca się na całym ciele, załamywała ręce, bojaźliwie patrząc raz tu raz tam.

— Dargosławie, wierny strózu, zawołała jej kliwie, czy nie widzieliście nieprzyjaciela? —

— Nie miłościwa pani. —

— Czy wszystko bezpieczne? Mamyż dosyć zbrojnych na odparcie, gdyby Krzyżacy napadli na Sartawice? —

— Nie wieleć ich mamy, bo jeno dwudziestu pięciu, ale wypróbowani ludzie, a Sartawice takie bezpieczne! Nim się kto wedrze po spadzistem wzgórzu, już mu ostra strzała zadzwoni w piersiach. Nie bójcie się, nasz dzielny Ramota serce ma lwie, a oko sokole, póki on nas strzeże, jesteśmy bezpieczni. Ale czegoż to was taka bojaźń opanowała, miłościwa pani? —

Wojewodzina słuchała, jak człowiek już rozpaczający napół wierząc, na pół wątpiąc słucha, gdy przyjaciel od serca pociesza, albo jak dziecko, przelęknięte czarną marą wśród ciemnej nocy, tuli się do matki głaskającej twarz jego i dodającej otuchy, a choć czuje się bezpiecznym, jednak co moment drgnie i popłacze. Minęło trochę czasu, aż odetchnęła głęboko, i tak rzekła:

— Pytacie się Dargosławie, czemu się tak przelękłam. Po wieczornych pacierzach, w których i siebie i męża polecałam opiece Boskiej za wstawieniem się sw. Barbary, mojej patronki z sakramentu bierzmowania, rychło się chciałem ułożyć do snu, boć tak serce skołatanе najłatwiej się uspokoi. Ciągłe mi stał na pamięci pan wojewoda i troskałam się, by go czasem niespotkał jaki przy-

padek. Kazałam tedy służebnym ozejsc i wnet uua-
łam się na spoczynek.

Modląc się do św. patronki, zasnęłam nieba-
wem. W tem zdawało mi się, że ktoś woła na
mnie miłym i żalonym głosem: — Strzeżysławo!
— Przez sen spytałam się: — kto tam? — Ten
sam głos zawołał jeszcze raz — Strzeżysławo! —
i czułam, jak lekka ręka dotknęła się mej dłoni.
Obok mego łóżka stała jakaś postać niewieścia,
otoczona światłem tak miluchnem, że tylko z nieba
być mogła. Niewiasta miała w ręku lilią, a twarz
jej jaśniała szczęściem błogosławionych. Ledwie
zdołałam rozpoznać wszystko, już zjawienie tak
przemówiło: — Strzeżysławo! Jestem św. Barbara.
Czciałś mnie w osobliwszy sposób i nieraz scho-
dziłaś do zamkowej kaplicy, by się pomodlić przed
mojemi szczątkami. Dla tej pobożności kocha cię
Bóg i pozwolił mi, stanąć w postaci widzialnej
przed tobą na pożegnanie. Tak, rozłączymy się.
Jutro rano pożegniam ciebie i tę ziemię pomorską.
Ale będę się za tobą i za wszystkimi wstawiała
zawsze do Najwyższego! Zostań z Bogiem! —

Tak rzekła i naraz zniknęła. Ja zaś, com
bez obawy słuchała jej, teraz dopiero pojmowałam,
że św. Barbara się rozstaje z nami, i odrętwiona
bólmem padłam na poduszki niemal bez myśli. Za
chwilę przyszłam trochę do siebie i poczęłam płakać
i wyrzekać. Tak mnie zastały przeleknione
służebne. Już spać nie mogłam, bo ciągnęła obawa
drczyła mi serce. Ach Dargosławie, czy pojmujesz,
jak mnie dusza boli, gdy zważę com słyszała!
Pójdzie, pójdzie, — kończyła wojewodzina płacząc
na nowo i załamując ręce, — pójdzie nasza pa-
tronka od nas! Tej nocy nieszczęście nas spotka! —

— Miłościwa pani, — odrzekł Dargosław, który uważnie słuchał wojewodziny, — sen mara, Bóg wiara. Może wam się tylko we śnie coś zda- wało. Czcimy i kochamy św. Barbarę, po cóż miałyby nas opuszczać? Zresztą, cokolwiek się sta- nie, z rąk Boskich wszystko przyjąć trzeba po- słuszenie i chętnie. Co prawda, i mnie dręczy ja- kies przecucie, ale wszystko zdaję na Wszechmoc- nego, który pieczę ma o nas. Pomódlcie się jeszcze, miłościwa pani, do św. patronki i udajcie się na spoczynek. —

— Już będę spokojną, mówiła Strzeżysława, ale idźcież jeszcze do strażników i napomnijcie, by byli baczni; może św. Barbara chciała nas ostrzedz.

— Tak uczynię, i poproszę Ramoty, żeby pilnie wszystkiego oglądał. A teraz życzę miłościwej pani spokojnej nocy i Panu Bogu was oddaję! —

— Z Panem Bogiem, Dargosławie, i Bóg za- płać za pocieszenie. Tak, wszystko zdam na Ojca Niebieskiego, — odpowiedziała wojewodzina.

Stary Dargosław zeszedł i udał się prosto na dziedziniec. Straże stąpały regularnym krokiem, a w szopie tylko półgębkiem toczyły się rozmowy, bo już była późna godzina.

— Jakże tu, Ramoto, wszystko dobrze i bez- piecznie? — odezwał się starzec do zdziwionego późnemi odwiedzinami łucznika.

— Nic się nie zdarzyło, — odpowiedział Ramota, — chyba to, że stary Dargosław jeszcze chodzi po dziedzińcu jak za dawnych czasów, choć już wnet kur pierwszy raz zapieje. Poseł do Świecia wysłany wrócił, a tam po drugiej stronie jakos się pod wieczór uspokoili. —

— Niebyłbym przyszedł Ramoto, ale uczy-

niłem wolę pani wojewodziny. — I Dargosław opowiedział rozmowę swą z Strzeżysławą. Baczny widz byłby podczas opowiadania postrzegł, że ów Piotr, który za dnia był u Szkota, czerwienił się i trochę był niespokojny, ale zbrojni mało na niego zważali.

Gdy Dargosław skończył, podał mu Ramota żylastą rękę i odrzekł wesoło: — Udajcie się na spoczynek, my czuwamy wedle zwyczaju i obowiązku, żeby ustrzedz zamek od przypadków; miłościwy książę wróci po szczęśliwej wyprawie do swych Sartawic. —

— Daj Boże jedno i drugie, — mówił Dargosław, wrócił do swej izdebki i wnet zasnął. Już było po jedenastej, a według ówczesnej rachuby po dwudziestej trzeciej godzinie. Przed chwilą zmieniły się strażę, a w szopie drzymali zbrojni, opierając się o stół albo ściany. Wszędzie był spokój. Na niebie wolno mijały się chmury, z poza których czasem blada wyjrzała gwiazdka. Po wale chodzili strażnicy prędkim krokiem, by się rozgrzać, bo mroźna noc dojmowała członkom. Piotr z nad brandenburskiej granicy stąpał na okopie od strony Wisły, gdzie spadzista góra nie wymagała tak silnej obrony jak inne strony.

Śród ogólnej ciszy odezwał się z przyległych zarośli głos puszczyka, raz, drugi i trzeci, przeciągłem u — hu! —

— To złowieszczy znak, Piotrze, — odezwał się najbliższy sąsiad do przybłądy, który jakoś zadrżał. — Wrzask sowy zapowiada śmierć. —

— Juźci, że ktoś najpierwszy umrze, — bąknął Piotr i odwrócił się spieszenie, jakby chciał przerwać rozmowę. Gdy doszedł blisko drugiego końca wału, przystanął trochę, podniósł mały ka-

mień i rzucił go wszystką siłą ku Wiśle; kamień po chwili plusnął we wodzie.

— A co tam wytwarzasz? — zawołał sąsiad.

— Człowiekowi zimno, bo niema co wziąć na się, a na tym zamku, jakby na pokucie, nic nie dają na rozgrzanie żołądka. Ledwie człowiek wie, czy umiałby jeszcze trafić sporym dzbanem do wyschłego żołądka. To rzucam kamieniem, żeby trochę nabrać ciepła w zagrabiące członki. —

— Widać po twojej odzieży, jak lubiłeś się starać o gardło, — odparł śmiejąc się towarzysz i poszedł swoją ścieżką, nie zważając, że właśnie z przeciwległej strony odezwał się drugi raz puszczyk.

Po krótkiej chwili zastanowiło coś niezwykłego obu strażników chodzących po północnej i zachodniej grobli. Kilku mężczyzn, oczywiście zbrojnych, bo zwolna stąpających, wychyliło się od brzegu Wisły i zdążali prostą drogą na przelaj pod święte. Strażnicy obaj stanęli ciekawie patrząc, a wnet przyłączył się do nich trzeci, sam tylko Piotr został na swoim okopie.

— To albo złodzieje, albo Niemcy z tamtej strony idą na obławę, — odezwał się jeden.

— A jacy śmiali, patrzcie, wtrącił drugi, zapalają sobie pochodnie. —

— To Niemcy, — zawołał znowu pierwszy, — widać żelazne hełmy i oszczepy; jakże się przeprawiali cichaczem przez Wisłę! —

— Trzeba zbudzić Ramotę; może wysle kilku naszych na pojmanie tych łotrów, — powiedział trzeci, i prędko zwrócił się, by pobiedz do szopy. W tem przerażony krzyknął: — Jezus, Marya, Niemcy w zamku! Ramoto, zdrada, brońcie! —

i zamierzywszy bardyszem, pobiegł na przeciwległy koniec dziedzińca, gdzie od Wisły wchodzili drabinami na okop zbrojni. Już kilkunastu stało u góry i wciągali resztę.

Strażnik przyskoczył do najbliższego, który już miał schodzić z okopu, zamierzył bardyszem i ostre żelazo spadło na nieprzyjacielską pierś, zgrzytnęło po czemś twardem, ale odskoczyło; Niemiec się tylko zachwiał, gwizdnął mieczem, i biednemu Pomorzaninowi został tylko kawałek drzewa w ręku.

— Ramoto, pójǳcie! — wrzasnął powtórnie z taką rozpaczą, jakby mu serce pękać miało. W tem usłyszał dobijanie się do drzwi z wnętrza szopy. Ten zdrajca wiarołomny Piotr, założył skobel przed drzwi! — jęknął boleśnie i poskoczył do szopy.

Rzeczywiście skobel był zasunięty; skoro się drzwi rozwarły, wypadł każdy, jak go chwila zaszkoczyła, na pół ubrany, jeden z szablą, drugi z bardyszem, trzeci z oszczepem. Ramota przejrzał jednym rzutem oka całe nieszczęście. Ostatni nieprzyjaciele już drapali się na okop, pierwsi już schodzili na dziedzińiec i po krótkiej rozprawie zranili i rozbroili dwu strażników; Piotr trzymał się na stronie, oczywiście będąc w zмовie z najeźǳcami.

— Łucznicy, weźmijcie każdy swego na cel i wystrzelcie, a tedy do broni, — zawołał Ramota, i w moment furknęły strzały. Ale ciemność nie pozwoliła dobrze celować, tylko jeden runął o ziemię, a reszta nieprzyjaciół w zawartym szeregu szła prosto na naszych, których było może o trzecią część mniej.

Już się zaczęły krzyżować miecze z bardy-

szami, bardysze z oszczepami, i wszczął się straszny zgicłk wojenny pomieszany z przeraźliwym płaczem dzieci i niewiast wiejskich, sypiących się nierozsądnie na dziedziniec. Szczęściem wypadł stary Dargosław, dźwigający ciężki miecz, towarzysza dawnych wypraw wojennych, i zawrócił trwożliwą gromadkę do wielkiej izby, którą mocno zamknął. Tedy przyskoczył młodzieńczym krokiem do Ramoty.

— Zwróćcie się do drzwi zamkowych, bo tu nie zdołacie się oprzeć. W potrzebie, schronim się do zamku samego.

Ramota, udzielający na wszystkie strony rozkazy walczył sam z rozpaczliwą zaciętością. Gęstemi ciosami spadał miecz jego na wrogów, jednemu rozplątał tarczę i przeciął ramię, drugiemu zadał cios śmiertelny w samą pierś. Ale wnet przekonał się dzielny łucznik, jak trudno opierać się nieprzyjacielowi, który liczniejszy i przygotowany do walki, przewyższał jego wojowników zbroją i bronią. Już kilkunastu Pomorzan zboczonych krwią upadło na skrzepłą ziemię, wzywając miłosierdzia boskiego dla grzesznej duszy, a choć obok nich niejeden żołnierz krzyżacki siniejącemi wargami bełkotał pacierze, jednak z pocztu Ramoty nierównie więcej ubyło.

— Do Świecia o pomoc jeżeli możesz starcze, wyślij kogo, — wrzasnął do Dargosława, broniąc się od razów młodego rycerza, który na niego ostro nacierał.

— Dopiero posłałem; służebna wojewodziny poszła tajnym gankiem, tu się rodziła, zna drogę, może dojdzie, — szepnął urywkowo Dargosław.

W tem odezwał się od Wisły przeraźliwy krzyk niewieści.

Dargosław jęknął. — Żle, ona wpadła w zasadzkę. Pewnie ją zabiją, bo wyjścia ganku nie chce wydać. Cofnij się do komnat, to ostatnia nadzieja. —

Ramota rzucił okiem po dziedzińcu. Ledwie dziesięciu Pomorzan jeszcze stało, a każdy zlany potem i chwiejący się z wyczerpania. Tu już wszystko było stracone. — Do mnie wszyscy natychmiast! — zawołał jak lew zraniony, a w tej chwili garstka stała koło niego. — Do drzwi zamkowych! — wrzasnął drugi raz i wszyscy wpadli do sieni, którą mocno zatarasowali.

Była to już piąta godzina walki. Niemcy zziązani przypadli do drzwi, ale na ich pchnięcia tylko głuchy odgłos odpowiadał z sieni.

Tymczasem garstka Pomorzan już stanęła u okien z łukami, które pozrywali z ścian komnaty książęcej; kilka strzelb przywlokł stary Dargosław ze zbrojowni. — Strzelać! — wrzasnął Ramota, i z pięciu okien wyleciały strzały, po których trzech napastników padło o ziemię. Wszczął się popłoch między nimi. Jeden, oczywiście dowódzca, pomruczał coś, i kilkoro przypadło do szopy, a inni cztery łuki wypięli do okien. Tomek, któregośmy widzieli z Piotrem u Szkota, spojrzawszy bokiem z za muru i trwożliwie zawołał: — Ramoto, wykurzą nas ogniem. Zrywają tarcice z szopy i zbierają barłóg, suną się pod murem, żeby strzały ich nie sięgły. O nieszczęśliwa godzino! —

W tem warknęła u dołu cięciwa, a obok głowy Tomka świsnęła strzała, uderzająca w strop komnaty.

— Nie źle mi chciał sprawić, — zawołał, — trzeba mu oddać, — i mierząc okiem wychylił się;

w moment zabrzął stalowy luk książęcy, a na dziedzińcu padł długi najemnik. Ale krótka radość! W tej samej chwili rozwidnił się dziedziniec, a gęsty dym uderzył pod okna; w chwili zgęstniało powietrze w komnacie, Pomorzanom już brakło tchu. — Zginęliśmy — zawołał Ramota, zejdźmy do sieni, do której się będą dobijali, i okupmy śmierć jak najdrożej.

Wszyscy schodzili, jednemu Tomkowi nie było śpieszno. Jeszcze raz przysunął się do okna i radośny uśmiech powlekł się po zboląłem obliczu.

— Jest mój Szkot, którego w prostoduszności wczoraj nie dopilnował, boć on a Piotr zdrajca sprawili nam to nieszczęście, — rzekł do siebie. — Stoi blisko, odłonił kołpaka, widać to rycerz krzyżacki; zgiń podstępna gadzino, — zawołał w złości, i ostatnia strzała świsnęła z okna. Rycerz padł o ziemię z przesytem gardłem, krew strzyknęła i ostatnie jęki wydobyły się z ciała.

— Już on nie będzie sukna sprzedawał, — mruknął ukontentowany Tomek i opuścił komnatę, w której już ledwie mógł odetchnąć dla sinrodliwego dymu. W sieni stali ostatni obrońcy Sartawic, zmęczeni i zwątpiali. Co chwila uderzała ciężka belka o podwoje. Nakoniec skruszyły się drzwi, zawiasy pękły i podwoje runęły z łoskotem do sieni.

Ramocie zakręciła się łza w oku. — Westchnijcie do Boga mężowie, rzekł, i oddajcie duszę Ojcu Niebieskiemu, ostatnia chwila się zbliżyła. Krzyżacy przywołali zasadzkę od rzeki, są daleko liczniejsi. Umierajmy walcząc. — I przypadł do pierwszego wkraczającego do domu książęcego. Zaczęła się walka ostatnia, rozpaczliwa, wśród której kłatwy, jęki i okrzyki radości w strasznym złącze-

niu odbijały się o sklepienia starożytnego domu. A na dziedzińcu dogorywały tarcice, których łuna bledniała w brzasku nowego dnia zwiastującego się ludziom gdzieś daleko u krawędzi nieba.

Porzućmy już walczących, bo któż zdoła opisać zapasy rozpacz i zaciętości. Obejrzyjmy się za Dargosławem.

Gdy Pomorzanie przed dymem opuścili komnaty górne, przysunął się Dargosław do Ramoty i boleśnie spojrzał w twarz jego.

— Idziesz na śmierć, — powiedział. — I ja wolałbym tu paść, niż przeżyć ciebie, Ramoto, i może stanąć przed naszym księciem, który nam zamek swój zlecił. A jednak będę się starał, ocalić niktące już życie, bo może zdołam unieść skarb naszego zamku, głowę św. Barbary. Zostań z Bogiem! Do zobaczenia w wieczności. —

I stary klucznik odwrócił się prędko w drugą stronę ganku i wpadł do pokojów wojewodziny, która na pierwszy głos trwogi się była podniosła i niemogąc z bronią pomagać, w rozpacz i odrętwieniu szukała ulgi i pomocy w modlitwie.

— Miłościwa pani, jeżeli chcecie ocalić życie, śpieszcie prędko za mną; tajnym gankiem ujdziecie. Ja się zatrzymam jeszcze. —

Uciec miałabym, kiedy zamek już w ręku nieprzyjaciół; głowę mej patronki zostawić im? wołę tu umrzeć, — odpowiedziała Strzeżysława podnosząca się z klęcznika, z owym lekceważeniem życia, które tylko pod nawałem nieszczęść wyrobić się może. Biedna przeżyła w sześciu godzinach tyle męczarni serca, że doczesność już wszystką dla niej wartość straciła.

— Ale gdybyście mogli świętość ze mną oca-
lić? Pójdźcie pani, wyniesiem świętą głowę! —

Strzeżysława nie dowierzała, jednak na myśl o św. Barbarze zerwała się i zarzuciwszy chustkę, prędko zdążyła za Dargosławem. Z komnaty przyległej spuścili się oboje wąskimi krętymi schodami nadół i niebawem stanęli w kaplicy św. Barbary.

— Teraz, — mówił Dargosław, — do pracy. Drzwi do kaplicy mocno są zamknięte. W sieni jeszcze Ramota się trzyma. Tu oto mamy tajne drzwi do ganku podziemnego, w którym się z świętą relikwią ukryjem, aż w zamku się uspokoją i cofną zasadzki wystawione. — Po tych słowach przystąpił do ściany po lewej stronie ołtarza, odsunął kotarę i kluczykiem, który na piersiach nosił, otworzył małe drzwi w obicie kaplicy tak wprawione, żeby ich się tam nikt nie domyślił. Zimny powiew uderzył z otworzonego ganku na klucznika i wojewodzinę, która dopiero na widok drzwi pojmować zaczęła, co się stać miało.

— Teraz do pracy; niech pani miłościwa pomoże, bo czas nagli, — zawołał Dargosław, odpasał swój miecz, przystąpił do ołtarza i z natężeniem wszystkich sił wysunął jeden koniec ciężkiej skrzyni, stanowiącej relikwiarz ołtarza. Wojewodzina drżąca pod wrażeniem chwili jak osikowy liść jęła się drugiego końca, ale ledwie go uniosła już wypadł jej z rąk, a zacna pani w zwątpieniu i rozpaczycy zachwiała się. — Nie uradzę, kluczniku, jestem wam zbyteczna, — wycedziła po cichu.

— Miłościwa pani, westchnijcie do św. Barbary. Bóg pomoże, — odpowiedział Dargosław i stanął obok niej. We dwoje unieśli drugi koniec i z wielkim trudem zasunęli skrzynię do drzwi

gankowych. W tem przycichł chrzest orężów w sieni; pewnie już ostatni Pomorzanie uległ, wierny swemu obowiązkowi i drogiemu księciu. Ale w moment ozwał się łoskot nowy.

— Już uderzają o drzwi kapliczki, pomóżcie pani, wsuniem skrzynię do ganku, — zawołał Dargosław. — Jeszcze chwilę wytrzymają podwoje. —

Stary natężył ramienia, żyły jego wyciągnęły się jak struny, skrzynia posunęła się aż do drzwi; wojewodzina, ledwie się trzymająca na nogach, szła za nią. Jeszcze raz szarpnął Dargosław, bo huk u drzwi wzrósł, a tu i owdzie wiory padały z grubych desek żelazem obitych. Kroplisty pot wystąpił na czoło starca chroniącego drogi skarb, ale skrzynia stanęła u drzwiczek, ani rusz posunąć ją dalej, bo drzwi za wąskie. U wchodu zaś tylko że wejść mieli napastnicy.

— Nie, chyba już Bóg tak chce, nie uprowadzę naszej Świętej. Miłościwa pani, zejdźcie w ganek, ja zatrzasnę drzwiczki, ukryjcie się na chwile i wyjdziecie cało. —

— Starcze, niemogę, — odrzekła po cichu wojewodzina. — Mojej Świętej nie opuszczę, już mi nogi nie służą. —

To mówiąc, upadła bezwładna i oburącz chwyciła się skrzyni. — Święta Barbaro, moja patronko, módl się za mną, — wyjęknęła jeszcze, i zmysły ją opuściły. Chwilę mogła wytrzymać słaba niewiasta, ale tak długim wysileniem chyba męczycza się oprze. W tem runęły drzwi wchodowe, trzech Niemców wpadło do kaplicy, za nimi trzymali się inni w pogotowiu.

— Ha, kiedy tak, może Bóg pozwoli zginąć na świętem miejscu, — powiedział Dargosław i je-

dnym skokiem już stał przy swym mieczu, dobył go i stanął przed skrzynią i Strzeżysławą.

Ciemność kaplicy, do której musieli się wprzód przyzwyczaić, zmusiła wstępujących do ostrożności. Niebawem poznali wszystko.

— Ten starzec chce uprowadzić skarby zamkowe, powiedział dowódzca do towarzyszków po niemiecku. — Ustąp człowieku, nie oprzesz się! —

Dargosław stał z wyciągniętym na przód mieczem. — Boże, dodaj siły, — zawołał i płątnął dowódcę z góry, aż hełm przecięty brzęknął, ale nim zdołał wymierzyć drugi cios, przyskoczył halabardnik i uderzył go toporem w skruszałe piersi. Stary jęknął, bluzgnął krwią, i cedząc przez usta — Święta Barbaro zmiłuj się, — padł przy drogiej skrzyni, bezwiednie tocząc po niej oczyma.

— Więcej ich tu pewnie niema, — zawołał dowódzca, zrzucając pocięty hełm, z pod którego wyrzwała twarz podeszła, siwa, ale krzepka. — Żołdownicy, dalej otwórzcie tę skrzynię. Pewnie kosztowności pomorskie w nasze ręce wpadły. —

Trzy oszczepy zaparły się pod żelazne skoble, jedwabne taśmy trzymające pieczęcie Świętopełka pękły pod mieczem i wieko odskoczyło. Ciekawie zajrzeli Krzyżacy do skrzyni, w której stała druga, misternie rzeźbiona, zamknięta na zamek. Jedno uderzenie oszczepu rozbiło cienkie blaszki i przed oczyma zdobywców stał jedyny skarb skrzyni, ostrożnie wstawiony, wielka srebrna głowa niewieścia w złotej koronie. Siwy dowódzca sięgnął po nią.

— Kurt, — zawołał do młodego rycerza, — pono was jakiś ksiądz czytać nauczył. Dowiedźcie swojej sztuki i patrzcie czy te kreski tu nie skła-

dają się w słowa. — Kurt spojrzął i przeczytał po łacinie tłumacząc swoim: — że to jest prawdziwa głowa św. Barbary, poświadcza Świętopełk, księżę Pomorzan. — Marszałku Dytryku, rzekł, w tej oto powłoce srebrnej zapewne jest największa ta świętość pomorska. —

Stary Dytryk z Bernheim z poważaniem trzymał srebrną głowę. Żołdownicy, którzy już sięgali do kosztownych opon na ścianach, przystąpili ciekawie do skrzyni. Ale jak wydobyć świętość? Rycerz Kurt podniósł koronę z głowy srebrnej, a pod nią znalazł haczyki dwa łączące wierzchnią część ze spodnią. Drżącą ręką odsunęli je, i spojrzeli wewnątrz srebrnej puszki. Wszyscy uklękli, bo rzeczywiście zobaczyli szczątki głowy.

Gdy wstali, ułożył komtur, który przewodniczył napadowi, świętą głowę do skrzyni.

— Tę panią i starca wynieść na powietrze, rozkazał, tam pewnie odżyją jeszcze, a do kaplicy wara, żeby kto miał zająć na plądrowanie. —

Wszyscy opuścili świątynie, w której ledwie przed dołą jeszcze księżę Świętopełk się modlił, otoczony Pomorzanami! Gdy stanęli na dziedzińcu, właśnie przed światłem dziennem pierzchały ostatnie cienie.

11. Rachuby Opatrzności.

Biały szron pokrywał zwiędłe trawki na stokach i powierzchni wałów, a powoli wschodzące słońce tylko go oświetlało, nie mając jeszcze władzy tyle, by ciepłym tchem wrócić konającym dzieciom lata życie i świeżość.

Na dziedzińcu zamkowym właśnie odkrywało

słońce przerażający widok zniszczenia. Trupy Krzyżaków leżały obok Pomorzan, a każdy w tej postawie, w której go zdybała śmierć. Jeden przyparty o wał, zdawało się że jeszcze żyje, ale głowa zwisała bezwładnie w tył i ręce zwieszające się owym ciężarem, którym tylko śmierć przygniata członki, powiadały, że ta rękojeść, którą nad piersiami widać, wbita silnem pchnięciem, że ciało przybite mieczem do wału. Inny głęboko zarył nogą w ziemię i spierając się na trupie, mierzy jeszcze mieczem, ale niema przed nim przeciwnika, ręka też zawisała, tylko palce jak kleszcze opasały zimną stal. Już on nie żyje. A w koło każdego szeroka czerwona plama na ziemi, a szaty zbroczone, a tu i owdzie z konającej piersi wydobywają się ciężkie jęki boleści, przy których ciało drga we wszystkich członkach. Porąbane tarcze, złamane miecze i bardysze tarzały się w nieładzie po bruku, a z dogorywającego ognia pod zamkiem wystrzelił czasem mały płomyk ginący zaraz w dymie i popiele. Z wielkiej świetlicy, gdzie wiejskie niewiasty i dzieci siedziały już pod zamknięciem Krzyżaków, wydobywały się rozpaczliwe jęki i skargi, a tuż przy drzwiach z wolna poczynął oddychać stary Dargosław z poszarpaną i okrwawioną na piersiach odzieżą, i pani wojewodzina, dla której zebrali zaciężnicy trochę barłogu na posłanie. W kącie jednym jęczała we krwi zraniona służebna panna, którą zdybali Niemcy, gdy się nad brzegiem Wisły przedzierała do Świecia. Przed zgruchotanemi drzwiami do zamku stanął siwy Dytryk i zdjawszy ciężką przyłbicę ze spotniałego czoła, powiódł okiem po strasznem zniszczeniu.

— Zwyciężyliśmy, Kurt, — przemówił do

spierającego się na krwawym mieczu rycerza, — zwyciężyliśmy; podobno już żadnego zdrowego mężczyzny w zamku niema. Teraz przekonajmy się, ilu nas jeszcze żyje. —

Mówiąc to porwał za róg bawoli u boku wiążący i zadał na zwołanie plądrujących jeszcze po zamku. Na przeraźliwy głos rogu zbiegli się w chwili wszyscy, obładowani kosztownościami i drogiemi zbrojami Świętopelka. Była ich mała tylko gromadka, i to nie wszyscy bez ran.

— Zliczmy się, — zawołał Dytryk z Bernheim.

— Jest nas wszystkich, już z wami komturze, piętnastu — zawołał ponuro Kurt.

— Więc dziewiętnastu naszych, między nimi dwu rycerzy, poległo. To za wiele na niespodzianą napaść. —

— Ale też się bronili te Pomorzany, — odrzekł jeden z grona. Szli jak na oślepa. Patrzcie na moje pokrwawione ramię i podartą szatę. Sprawili to mi jeden już niemal bezbronny, gdym mu wytrącił mieczem resztkę oszczepu. Nie mając żadnej broni, rzucił się na mnie i żelazną ręką tak uchwycił za ramię, że aż do kości przerwał mięśnie. Ledwie się uwolnił, uderzając go w samą głowę. —

— To prawda; — zawołał drugi, trzymając śliczny łuk z książęcej zbrojowni, — waleczni to ludzie. Już leżąc na ziemi, nawet konając, jeszcze się czepiali nóg, żeby człowieka zwalić. Dokazaliśmy trudnej sztuki. —

— Trzeba się namyślić coby teraz począć wypadło, — zauważył znowu Dytryk. — Jest nas mało. Prawda że Świecie nam nie zaszkodzi, bo ich strzegą nasi z przeciwnego brzegu Wisły. Ale

niechby ksiązę prędko wrócił z pod Wyszogrodu, albo kasztelan z Nowego nas zaczepi? Trzeba nam takiego zasiłku, inaczej sami możemy tu położyć się jak w łapicy. —

— To pewnie wypadnie na jednej z naszych kłódek, co tam w sitowiu jeszcze się kryją, z dwu ów wyprawić, żeby opowiedzieli, jak nam poszło i poprosili o więcej załogi, — powiedział Kurt.

— Lepiej będzie, pojechać w pięciu, żeby nieprzewidziany przypadek nie przeszkodził. Albo się osadnicy z bliskich wsi w pogoń puścić, się już kilka razy naszym zdarzyło, gdy samowolnie na tę tu stronę się wybrali. Trzebaby też dla pewności tę świętą relikwią i najznacniejszych ów zaraz zabrać, osobliwie tę panią, za którą nie gruby grosz się dostanie skarbowi Zakonu. Pewnie ty, kochany Kurt, najlepiej się sprawisz. Jesteś też mistrz, gdy się z twoich ust o szczęśliwej wyprawie dowie, popamięta o tobie na Nowy Rok, gdy komturów mianować będzie. Mnie staremu o zaszczytach nie myśleć. —

Młodemu rycerzowi zaiskrzały się oczy na myśl o komturstwie. — Jak każecie Dytryku, popamiętam i starać się będę, żeby szczęśliwie dojechać na samą stronę. —

— A więc do pracy, rzekł Dytryk, i ciężkim krokiem wstąpił na wał od strony Wisły i zadał sygnał. Wnet wysunęły się z obu stron Sartawic dziesiątki łodzi z gęstego sitowia i parte silnym zamachem kilku wiosłujących drabów stanęły pod zamkiem.

Tymczasem wychylił się z zamku ów zdrajca. Pierwszy idąc chwiejnym krokiem, czasem zamiast

jeden krok naprzód, dwa w tył stawiając i słaniając się jak trzcina, a okrutnie coś ze sobą rozprawiając. Podczas walki stał cicho na uboczu, kryjąc się w cieniu narożnego słupa zamkowego. Dopiero gdy ostatni Pomorzanie w rozpaczliwym boju legli, wysunął się i wpadł do zamku. Jeden z knechtów niemieckich, postrzegłszy go, już go miał uderzyć bardyszem, ale na szczęście inny przeszkodził, wołając: — daj mu pokój, ady to ten... — Drugi już się dorozumiał i pogardliwie machnąwszy bronią, zwrócił się w inną stronę. Piotr zaś zginął gdzieś w sklepach.

— Hu, jak oni tu leżą, — zabełkotał do siebie, wyrzawszy po chwili niepewnem okiem na dziedziniec. — A tam w sieni Ramota z rozbitą czaszką wykrzywił na mnie oczy — takie duże, jakby mnie wcale nie poznawał. Przecie to ja, Piotr, nagi Piotr, kulawy Piotr. A czemuś wczoraj mi wierzył, że mię noga boli, patrz jaki ja zdrów! —

I chcąc pokazać, jak dobrze włada nogami, podskoczył, ale że głowa, która według przeznaczenia Stwórcy ma nadawać członkom pewność i ład, u Piotra strasznie się chwiała, więc sama tylko siła ciężaru nim władała, a ta pociągnęła go w tył, aż się przeciw własnej woli oparł gwałtownie o mur, niby próbując, czyby go nie mógł przebić głową. Wszystkich Niemców na ten widok wziął pusty śmiech. — No, dla tego nogi są zdrowe, — bąknął znowu, skrobiąc się po silnie zbitej głowie, — jeno że mi tam coś zapruszyło makówkę. To zapewne ten miód, którego ten stary z kluczami tak strzegł. Tak długi post tu był, jeno czasem trochę cienkiego piwa i to jakby na dziecko! Wam łatwo się śmiać, kiedy nie znacie tych pomorskich święto-

szków. Ale też dziś się uraczyłem. Miód słodki, jak — no jak co? — jak miód, tak, jak miód. A znalazłem go tam jeszcze dwie beczki. Nie ruszę się z Sartawic, aż one dopełnią swego celu w gardle Piotra. —

W tem ujrzał Dytryka. — A panie rycerzu, jakże wam w nowym zamku? Jeno te ciała się uprzątą i wytrzemy czerwone plamy z bruku, będzie nam tu dobrze. Tylko nie odwracajcie się tak, przecież to ja, Piotr, co wam dopomógł. — I postąpił trochę bliżej do rycerza.

— Tak, tyś nam zdraził zamek, — odpowiedział Dytryk złośliwie, i odwracając się do Kurta zawołał: — Rycerzu, tego opoja zabierzcie ze sobą. Namby tu zawadzał, a kto wie, czy mu ufać można.

— Hm, jakto, — wyjąknął Piotr, — opój czy nie opój, ale mnie zabrać ze Sartawic, a te dwie beczki w sklepie? —

— Poradzimy im sami, a zdrajców nie potrzebujemy u siebie. Zdradziłeś Pomorzan, zdradziłyś i nas. —

— Ale ja nie zdradził, przecież tu mnie wysłaliście, żebym wam powiedział, kiedy będziecie mogli napaść na zamek. Czy to zdrada? — Tak się bronił Piotr, szamocący się w objęciach dwu knechtów, którzy go przemocą wyprowadzali z zamku do łodzi, w której już była święta relikwia, a obok niej leżała zwolna trzeźwiąca się wojewodzina i stary Dargosław. Ten pozierał żałosnym okiem w koło siebie, nie mogąc jeszcze sobą władać; tylko gęste łzy, pewnie więcej z żalu niż z boleści pochodzące, płynęły po jego licach. Świeże wodne powietrze wywarło na obojgu jeńców orzeźwiający wpływ.

Gdy Piotr chwiejnym krokiem wchodził do łódki, zadrżał Dargosław i mimowoli chciał się podnieść. Ale siły nie dopisały. Tylko okiem tak gniewliwym i pełnym wzdargy rzucił na Piotra, że ten, jakby go żmija ukąsiła, odwrócił się i zwieszając głowę spojrzął w drugą stronę. Łódka odbiła od brzegu.

— Co ten starzec na mnie patrzy, — bąknął do siebie; — czy ja co złego zbroiłem? No, wydałem, że ich mało, i kiedy będę stał na wale, i zasunąłem skobel. Hu ty Ramoto, ciągnął w obłąkaniu dalej, nie patrz tak strasznie! Czemu wyszczerzasz tak oczy? Mówisz że ja winien twjej śmierci? — I zachwiał się mocno, już stracił równowagę, łódka się wstrząsnęła, i wojewodzina zawołała: — ratujcie, bo się topi. —

— To nietoperz, niech pływa, — odpowiedział zimno Kurt, który się bez współczucia przypatrywał wszystkiemu; — ni swój, ni wróg. — A nieszczęśliwy topielec tylko machnął rękoma, raz się wynurzył, i woda go pochłonęła. Wszyscy zdreśli.

— Niema czasu, ani się też chce człowiekowi wystawić życie na niebezpieczeństwo dla takiego gałgana. Za te pięćdziesiąt groszy, które mu podobno nasi obiecali, dostaniem każdej chwili podobnego zdrajcę, dorzucił rycerz.

Po chwili stanęła łódka u drugiego brzegu. Wojewodzina pod wrażeniem ostatniej chwili znowu straciła przytomność. Kurt kazał ją wraz z Dargosławem, którego rana w piersi strasznym przejmowała bólem, zanieść do pobliskiego gaju. Tam już czekał lużak krzyżacki z koniem. Kurt dosiadł ru-

maka i poczuwałował pod Chełmno, reszta strzegli skrzyni z relikwią i obu jeńców.

Po długiej chwili nadszedł z miasta ciężki wóz, na którym biednego Dargosława jęczącego od bólu dla twardej drogi zawieźli do miasta. Osłabiony starzec ledwie pojmował już, co się z nim działo. Tylko wojewodzina, ocknąwszy się przed miastem i widząc przed wozem liczną procesyą z świecami i słysząc śpiewy pobożne, zapłakała i rzewnym głosem wyjęła: — Sprawdziło się, św. Barbaro, coś wczoraj do mnie rzekła; a dziś 4. grudnia, właśnie twoja uroczystość; ach dziewico św., módl się za mną! —

Stary Dargosław przebudził się w małej ciemnej izdebce. Leżał na prostym sienniku, przykryty grubą kołdrą. Słońce właśnie przezierало przez niskie zakratowane okno. Bezwiednie potoczył sędziwy starzec wzrokiem w koło siebie. Nagie ściany i ceglana posadzka były jedyną ozdobą pomieszkania jego. Powoli wracała mu pamięć i mimo dokuczliwego bólu, który się w piersiach jego odezwał, skoro się tylko ruszył, począł rzewnie płakać. — Więc to ja w więzieniu, a na zamku książęcym gospodarzą Krzyżacy! Ach Boże wejrzyj z nieba wysokiego i pomóż drogiemu panu! — A Ty, moja święta patronko i orędowniczko czy też jeszcze będę się mógł modlić przed Twoją świętą głową! Cokolwiek się stanie, módl się za mną, bym zdołał ten krzyż Bogu na chwałę a duszy na zbawienie dźwigać! —

W tem odezwał się głuchy odgłos zbliżających się kroków. Przychodnie stanęły przed drzwiami starca niepewnego, coby go czekało. Klucz zachrupotał w zamku i wsunął się podeszły już w latach

ksiądz w długiej rewerendzie, a za nim klucznik, który milcząc wskazał na Dargosława. Ksiądz się przybliżył, popatrzał na starca i rzekł coś po niemiecku do dozórcy, następnie schylił się i rozpiął podarte szaty Dargosława. Piersi całe wyglądały jak spieczone, tak zabiegły krwią, a tu i owdzie było ciało pokaleczone. Choć biedny więzień jęczał, pomacał księżyna wszędzie, dodając mu wzrokiem otuchy.

— Żebra są całe, — przemówił nakoniec do dozórcy, — tylko bardzo przygniecione, a ciało poranione; zdaje się, że i krew się zbiła w płucach. Może mój plaster poskutkuje, tylko że ten człowiek już stary, więc natura mało dopomoże. — I wydobyl kawał płótna, który pomazał czemś i przyłożył staremu na zranione piersi. Ten wdzięcznie spojrział na księdza i spytał się po polsku: — wielebności Wasza, gdzie też jestem? —

— W Chełmnie, — odpowiedział duchowny z niemiecka.

— A św. Barbara gdzie?

— Także w Chełmnie. —

— Bogu dzięki, — jęknął starzec radośnie, że aż ksiądz się zdziwił.

Ale dłuższej rozmowie przeszkodził dozorca, mówiąc, że niewolno z więźniem rozprawiać. Obaj się oddalili, a siwy Dargosław został sam modląc się, póki go słabość nie zmogła.

Tak przeleżał kilka tygodni, trawiony bólem ciała i duszy, przypominając sobie ciągle o utracie świętości i zamku. Nakoniec już mógł się podnieść i przechadzać po szczupłej izdebce. Starowina bardzo zmarniał, ledwie się trzymał na nogach, a coraz dojmował mu w piersiach ból, jakby kto igłą żgał.

Czasem też puściła mu się krew, a tchu zawsze było mało.

Dozorca, który Dargosławowi regularnie ubogi posiłek przynosił, przybył razu jednego w niezwykłym czasie i kiwnął na niego. Starzec posłuchał i wyszedł za przewodnikiem na długi kurytarz, stąd na dziedziniec do kuchni. Tam kazali mu posługiwać, podawać wodę i drwa. Dargosław chętnie to spełniał, bo częściej mógł użyć świeżego powietrza i rozmówić się z służbą, która po większej części w Chełmnie się rodziła, więc po polsku mówiła. Jednak wnet poczuł, jak mu trudno było wykonać choć najłatwiejszą robotę, bo często pokaszliwał, a ból mu srodze dojmował.

Już sporo czasu upłynęło; nastąpiło lato, gdy raz się dowiedział, że wszystka służba i on też pójdzie na Zielone Świątki do miejskiego kościoła na nabożeństwo. Zwykle była msza św. w gmachu Krzyżaków. Powiedzieli mu też, że tam w katedrze przechowywali rycerze głowę św. Barbary, którą wszyscy mieszkańcy podobno szczególnie czcili. Dargosław jakby odżył; niecierpliwie czekał na święto. Nakoniec poszli. Ale on nie miał oka ani dla okazałego nabożeństwa, ani dla świątecznych strojów, tylko wlepił wzrok w wielką srebrną głowę stojącą na wielkim ołtarzu, i rzewnie się modlił, jak tylko modlić się umie serce do cna zbolełe, ale ufne w Bogu i w świętą jego mądrość, która w każdym krzyżu zesłanym na człowieka ma dobre, choć nieraz nam zakryte zamiary.

Gdy się tak modlił, przyszły mu na myśl chwile młodego wieku, kiedy jeszcze swobodnie się bawił w chatce w Rumi, gdzie Tomisława tak dobra była, a Włocz jeszcze był spokojny i pracowity.

Naraz zdumiał się Dargosław i patrząc ze łzami na ołtarz, gdzie właśnie było ofiarowanie, tak się modlił: — Ojciec wszechmocny i łaskawy! ofiaruję Ci z całego serca życie swoje i wszystkie dolegliwości, jakie ponoszę, na zadosyćuczynienie za winy ojca mego, boć widzę, że Twoja łaskawa sprawiedliwość wymaga mojej pokuty na zmazanie grzechu rodzica. Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi! — I wspomniał o owym biskupie, błogosławiającym mu po dziesięcioletniej niewoli, i o słowach jego, a obfite łzy pociekły na zbladłe jagody, a żałością drgające wargi zanosiły do nieba, co człowiek ma najzacieńszego na ofiarę, synowskie zdanie się na wolę Bożą.

Odtąd stawał się Dargosław jeszcze potulniejszym i cichszym. Wszystkie zadania spełniał jako obowiązek winny już nie ludziom ale Bogu. Jedyną radość sprawiało mu, gdy czasem mógł zanieść pokarm pani wojewodzynie, którą trzymano w uczciwym więzieniu.

Raz z rana, gdy wszedł dozorca do celi starca, żeby go zawołać do roboty, nie zastał go jeszcze ubranego. Zbliżył się więc do posłania, już mając go skarcić, ale powstrzymał się. Lica Dargosława były blade, każdej żyłki można było dostrzedz; przy posłaniu postrzegł dozorca na ceglanej posadzce sporą czerwoną plamę.

Dargosław ledwie już oddychał: zamierające usta całowały mały drewniany krzyżyk i pocichu szeptały modlitwę.

Na widok dozórce jęknął tylko błagalnie: — księdza! —

W moment stanął ów stary kapłan, którego już poznaliśmy. Został z naszym klucznikiem razem

i odbyła się spowiedź, którą Anioł Stróż zaniósł do nieba jako ofiarę skruchy i uległości pod wyroki Boskie. Niebawem potem przyjął Dargosław z uczczeniem Baranka Bożego.

Na drugi dzień pochowali domownicy ciało na cmentarzu. Za trumną szła płacząc pani wojewodzina, która usilnemi prośbami uzyskała pozwolenie towarzyszenia zwłokom wiernego sługi księcia. Pogrzeb odbył się właśnie dziesięć miesięcy po pojmaniu w niewolę.

Dwa miesiące później nastął pokój, a wojewodzina wróciła za okupem do Pomorza. Gdy się stawiała przed księciem, najprzód zapytał się Świętopelk o Dargosława.

— Umarł, miłościwy Panie, przed dwoma miesiącami. —

— Umarł? więc już go nie zobaczę, wiernego sługi. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

— mówił książę widocznie wzruszony.

12. Losy Sartawic i św. głowy.

Któż opisać zdoła smutek i gniew księcia Świętopelka, gdy wesolo wracając po szczęśliwej wyprawie na Wyszogród, już po drodze usłyszał, że podobno Sartawice w ręku Krzyżaków. Wszystkie żyły jego nabrzęły jak struny i gniewnie zawołał: — Pomorzanie, pójdziem pod Sartawice!

Pod Świeciem rozbił tymczasem namioty i wysłał gońców do Nowego i Gniewu, żeby prędko nadeszło jakie czterystu zbrojnych. We wigilią Bożego Narodzenia połączył się z nimi pod Sartawicami i prędko nasypać kazał okopy pod samym

zamkiem. Pomorzanie pracowali z wytężeniem, bo każdemu coś powiadało, że lepiej pozbyć się tu Krzyżaków, jak żeby mieszkańcy na kilka mil w koło nawiedzani być mieli przez ciągłe napady ze zamku. I tak już bliskie wsie były częścią spalone, częścią zabrali Krzyżacy do Sartawic zboże i żywność albo kazali sobie daniny odstawiać. Bo przysposabiali się na wszystko. Trzystu zbrojnych i wéwiczonych knechtów leżało w zamku i szopie, a kilku najdoświadczeńszych rycerzów pilnowało, żeby się posługa żołnierska odbywała porządkiem i bacznie.

W pierwsze święto było spokojnie; tylko na wzgórzach i parowach na około Sartawic skrzypiał śnieg pod stopami naszych Pomorzan, strzegących zamku, — by nikt nie wchodził ani się nie wymknał. W drugie święto przed obiadem zadał sam książę na bawolim rogu. Wojewoda Nasław prowadził jedno skrzydło, książę drugie. Walczono długo i krwawo. Niejeden Pomorzanin poległ na zdeptanym śniegu, niejeden zbrojny krzyżacki potoczył się i skonał nie na własnej ziemi. Ale silna budowla i wysokie okopy, bronione przez wprawnych Niemców, opierały się wszystkim wysileniom chrobrej dziatwy pomorskiej. Pod wieczór wydał książę rozkaz do odwrotu, żeby daremno ludzi swych nie wystawiać na niebezpieczeństwo śmierci.

Przy buchającym ognisku powiedział jeden z Pomorzan, już człowiek dojrzały i doświadczony wojownik, do swych towarzyszków: — Jeżeli ich nie wygłodzimy, pozostaną w zamku, bo zdrajców pewnie niemają między sobą, to i pięćdziesiąt chłopów oparłoby się w Sartawicach całemu wojsku. Powiadał ci mój nieboszczyk ojciec, jak on młodym parobkiem

będąc, zwoził tu drzewo i kamienie do budowli; pono na trzydzieści mil w około niema zamku, coby tak mocno i na tak dogodnem miejscu był wystawiony. —

Słowa starego wojownika sprawdziły się. W następne dni puszczano ponownie szturmy, ale bez skutku. Zaczęło się więc głodzenie, a tymczasem ruszył sam książę na czele wybranego pocztu po zmarłej Wiśle pod Chełmno, aby się odbić na łupach. Obciążony zdobyczą wrócił do obozu tak cichaczem, że Krzyżacy ani się domyślili, iż go przez jakiś czas niebyło. Nakoniec ruszył książę w lutym z bólem i żalością od Sartawic po ośmioletniogodniowem obleganiu. W zamku było dosyć żywności na długi czas, bo przezorni Krzyżacy przygotowali się byli na wszystką ostateczność.

W jesieni roku 1243 skłonił się Świętopełk do pokoju, choć mu się serce krajało, ale wszyscy jego krewni przystali do Krzyżaków, jak błędne owce, które swej zguby w płonącej szopie nie dostrzegają. Krzyżacy wszystko wrócili prócz Sartawic, a nadto wzięli jako zakładników księcia Mściwoja, syna i następcę Świętopełka, kasztelana pomorskiego Gniewomira i wojewodę Wojacha.

— Jedźcie już, — rzekł im rozrzewniony książę, — może przynajmniej spokój mieć będziemy od tych chciwców. —

Nie długo potem, już po roku, zaczęły się na nowo niesnaski. Są ludzie, z którymi nikt w zgodzie żyć nie może, choć przed całym światem udają najpotulniejszych. Wszędzie ich czuć, w każdej sprawie maczają palce. Zachciało się Krzyżakom całych nizin między Nogatem i Wisłą. Wojna zaczęła się szczęśliwie dla księcia. Roku 1244 prze-

prawił się przez Wisłę i połączył się z gnębionem Prusakami. Nad Rządzkim jeziorem stoczyła się straszna bitwa. Krzyżaków poległo wiele, Chełmno tylko o włos nie dostało się księciu. Ale on sam najlepiej powiedział w rozmowie z Nasławem w wieczór przed wyprawą pod Wyszogród, że z Krzyżakami trudno walczyć, bo z całych Niemiec do stawali na każde zawołanie posiłków. Wnet zawołali na trwozę, i całe zastępy im w pomoc, przybywając z dalekich stron. Młodego Mściwoja i resztę zakładników ukryli w najmocniejszym zamku swoim, w Sartawicach!

Wnet musiał ksiązę znowu zawrzeć ugodę biednych Pomorzan niestać było na takie wojny. Ale po kilku miesiącach wszczęły się na nowo utarczki. Ksiązę zebrał co mógł, by już raz położyć koniec strasznym niepokojeniom. Tą razą już nie ufali przeciwnicy nawet murom Sartawic, lecz wysłali Mściwoja aż do Austrii.

Księciu szło rzeczywiście najprzód o wypędzenie najeźdźców z Pomorza.

Było r. 1247. W Sartawicach aż się jeżyli od bardyszów i oszczepów, a tu i owdzie wyglądał stalowy hełm z za okopu. W tem zbliżała się o Nowego ciemna gromada. Zartowano sobie z nimi za okopami. Po dobrej godzinie już stanął ksiązę na czele przynajmniej tysiąca Pomorzan przed Sartawicami i rozłożył się na polu, obejmując szerokim pasem zamek i przyległe pagórki. Osaczeni gromadzili się już na ostateczną walkę; dorozumiewali się, że ostateczna rozprawa nadchodzi. Na drugi dzień wysyłał ksiązę gęstych posłów pod lasy, a szturmowi nie przypuszczał, jeno coś radził z wiewiorem Nasławem.

Nie potrwało dwu dni, aliści z lasów wychyla się nieprzejrzaną ciąg wozów na drewnianych osiach, ciągniętych przez woły i konie, obciążonych samem drzewem długim i porzniętem. Na innych wózkaach stały wysokie kadzie, z których czasem czarny płat wyleciał. Przy każdym wózku szedł śniady, ogorzały mężczyzna, czasem rosty jak chójka, w ciemnozielonej samodziałowej sukni przepasanej szerokim skórzannym pasem i w wysokich ciżmach. Byli to Borowiacy, którzy się zdziwieni stawili na rozkaz księcia z drzewem i smołą.

Na widok wozów drgnął Świętopełk z radości i szczerze powitał swych wiernych poddanych. Sam tedy począł wydawać rozkazy, żeby za pomocą obozujących wszystko złożyli na jednym miejscu. Tak ułożył się wielki stos, poprzekładany smolnem łuczycem. Krzyżacy patrzeli zdumieni na wszystko, nie wiedząc, do czego to drzewo. Ale nie długo zostali w niepewności. Już myśleli zrobić wycieczkę, ale sześćset Pomorzan stało tymczasem z bronią w pogotowiu, więc było niebezpiecznie. W tem usunęły się wozy i wózki na bok, a książę Świętopełk zadał na swoim rogu. Wszyscy Pomorzanie stanęli w pogotowiu, czekając dalszych rozkazów. W tem odezwał się do nich książę. — Zdradą wzięli Krzyżacy nasz najsilniejszy zamek. Już liczni Pomorzanie padli ofiarą przed pięciu laty, bo trudno zdobyć przemocą te mury, które dziad i ojciec mój za pomocą waszych przodków stawiali. Na cóż przelewać krew mych wiernych poddanych. Choć mi ten zamek miły jak oko w głowie, bo tam mieszkali moi przodkowie, rządzący swymi poddanymi w spokoju i miłości, ale stosunki się zmieniły. Wypłoszymy wrogów ogniem, jak oni

naszych poddanych ogiem dusili. Zapalcie stopy i d
niech żar i dym ich ogarnie, a łucznicy strzelajcie rzuc
gorejącem łuczywem do zamku! —

W mgnieniu oka zajęło się smolne drzewo był
i płomień skakał od końca do końca. Wzbiła się pał
łuna tak gorąca, że nikt przy niej ustać nie mógł, bo
a dym walił się gęstemi kłębamii na zamek. Tam zbl
zapanowała trwoga. Kto mógł, spieszył w ciemne nar
lochy i do okien po przeciwległej stronie, bo po- jes:
wietrze na dziedzińcu nieomal gorało, a szary dym sie
ujmował im tchnienia. mie

Tymczasem stali Pomorzanie gotowi do boju, za
gdyby Krzyżacy przerznąć się chcieli, a gęste czaty der
pilnowały na pagórkach, w parowie i nad brzegiem wr
Wisły, żeby nikt nie uszedł. raz

W tem zadrzały cięciwy u łuków, i ogniste już
głównie poleciały na dach, w okna i szczeliny, nie-
sąc pożar wszędzie, gdzie łuczywo z drzewem się Na
zetknęło. Temu wszystkiemu towarzyszył zgiełk cza
i rozpaczliwe krzyki zamkowców, że to wszystko dzi
się wydawało jakby sądny dzień. zar

Już płomienie zajęły dach i wewnętrzne ko- św
mnaty, już ognista łuna wzbiła się nad sartawskim wz
zamkiem, gdy obleżonych rozpacz porwała. Zaczęli z
się rzucać z murów i okopów ledwie tocząc wzro- od
kiem, ledwie mogąc wybełkotać słowo. Wielu padło tar
jak bez zmysłów. Ten i ów zamierzał się do cięcia, sp
ale już ręce nie zdołały prowadzić miecza, który
ledwie zaszeleścił po sukni Pomorzanina, i już
wróg był bezbronny. Ostatnich pochwymano uchod-
zących taczającym się krokiem przez tajny ganek. ki

Wszystkich pojmanyh było niemal trzystu ba
pięćdziesięciu, a w całej wyprawie tylko jeden zd

i drugi Pomorzanin padł ugodzozy strzałą z okien
rzucaną.

Pożar zamku stał się ogólny, gdy mocne belki
zaczęły się palić. Mury trzaskały jakby z szkła
były, a cegła, unoszona skwarem pożarowym, sy-
pała się na wszystkie strony. Nikt nie myślał gasić,
bo oczywista śmierć groziła każdemu, ktoby się
zbliżył do ognia. Wnet opuścił ksiązę z Pomorza-
nami obóz, uprowadzając ze sobą jeńców. Raz
jeszcze rzucił Świętopęk łzawem okiem na ginącą
siedzibę książąt i odwrócił się ku Nowemu. W kilka
miesiący potem stanął trwały pokój z Krzyżakami
za pośrednictwem legata papieżkiego Wilhelma z Mo-
deny. Ksiązę ustąpił im pół Nogatu, a Krzyżacy
wrócili syna i dostojników pomorskich i przyrzekli
raz przecie dochować zgody. Odtąd też nie napadali
już Pomorzan.

Zamek jeszcze się palił przez cały tydzień,
Nakoniec zostały wielkie zgliszcza, które się za
czasem wbiły w ziemię. Podwójne okopy jeszcze
dziś sterczą prawie nietknięte. Na miejscu kaplicy
zamkowej stanęła rychło kapliczka drewniana, po-
święcona św. Barbarze; patrzy ona z wysokiego
wzgórza na Wisłę i cudną przyrodę. Przejeżdżający
z Polski flisowie zatrzymywali się tu zwykle, żeby
odwiedzić świątynię i złożyć pobożną ofiarę na oł-
tarzu św. Barbary, choć św. głowa już tam nie
spoczywała.

* * *

Zaraz po zaczęciu drugiej wojny z Świętopę-
kiem, r. 1244, przenieśli Krzyżacy głowę św. Bar-
bary do warowniejszego Starogrodu, żeby ustrzedz
zdobyczy przed Pomorzanami.. Ztąd przewieźli ją

do Malborka, przechowując drogą relikwią w wielkiej srebrnej skrzyni. Roku 1454 wszczęła się długa walka między Polakami i Krzyżakami. Polaków pobudziły do niej stany pruskie, na czele Jan Bażyński, po niemiecku przewany Hans von Baysen. Miasta Toruń, Elbląg, a przedewszystkiem nadzwyczaj bogaty wówczas Gdańsk, pomagały ze wszystkich sił, żeby raz skończyć sprawę z Krzyżakami. R. 1457 zdobyli Polacy Malbork. W strasznym popłochu już chciał ksiądz zakonny, który strzegł obrazu i relikwii św. Barbary, unieść swój skarb, ale ktoś go postrzegł i przeszkodził. Gdy nakoniec r. 1466 nastąpił pokój w Toruniu, który Pomorze wrócił polskiemu królowi, dostała się głowa św. Barbary razem z częstką św. Krzyża do Gdańska w zastaw za dług zaciągnięty przez króla Kazimierza na wojnę.

Tak to wysoko wtenczas cenili Gdańszczanie święte szczątki!

W Gdańsku przechowywała się św. głowa w kościele Panny Maryi. Bogaty patrycyusz czyli radny Engelke wystawił jej zdobną kaplicę i tyle na nią zapisał, że zawsze trzech księży było przy niej i liczne jałmużny szły na ubogich.

Ale i w Gdańsku zmieniły się stosunki. Nastąpiła wiara luterska, a z nią burzenie wszystkich świętości katolickich. Taki los spotkał też kaplicę św. Barbary. R. 1577 wpadła czereda do kaplicy, zniszczyła wszystko, a srebrną skrzynię stopili. Gdzie się podzielała św. głowa, nikt niewiedział. Teraz posiada katedra gnieźnieńska część czy całą.

Inne części także się przechowały. Jak zwykle, dawano też od głowy św. Barbary do zna-

cząstek kościołów cząstki. Jedna taka cząstka przechowywała się w kościele pelplińskim jeszcze po Cytańskich. Gdy roku 1622 kościół Jezuitów w Szotlandzie był poświęcany, darowali ojcowie pelplińscy na prośbę króla Zygmunta III. Jezuitom kawałek św. relikwii, który zapewne dotąd się tam przechowuje.



